

Mój Harry

Szymon Szymański

Opowiadanie „Mój Harry” powstało w okolicy 2000 r., a w 2002 r. dokonałem sporych przeróbek. To pierwsze opowiadanie, które napisałem od początku do końca.

Czułem klimaty „Stranger Things” zanim to było modne 😊

Z dedykacją dla Anki W.

1.

Małego Bartka poznałem na początku lat dziewięćdziesiątych. To były dziwne czasy. Świat stanął na głowie po zmianach roku osiemdziesiątego dziewiątego. Ci, którym się powodziło, nagle spadli ze stołków. Ci, którzy ukrywali się w podziemiu, zaczęli decydować o losach narodu. Wszystko się zmieniło. Wkroczyły do nas nowinki zza Żelaznej Kurtyny, a myśmy nie mogli się nadziwić, jaki to świat zrobił się kolorowy. Potem jednak wychodziło się na podwórko i kolory tonęły w szarości blokowisk. Wszyscy czekali na cud, który nigdy nie nadszedł. Nie miał prawa nadejść, bo w prawdziwym życiu bajki się nie zdarzają. Nikt nie miał rękawa, do którego mógł sięgnąć po obiecane miliony. Tylko naiwni wierzyli, że z dnia na dzień staniemy się bogatsi, mądrzejsi i lepsi. Po prawdzie, to wszyscy byli wtedy naiwni. Ja również. Może właśnie, dlatego polityka nie interesowała mnie w ogóle. Owszem, jak wszyscy podniecałem się odzyskaną wolnością, wykrzykiwałem radosne hasła, głównie pod wpływem odpowiedniej ilości piwa. Ale ta odzyskana wolność była dla mnie nic nieznającym frazesem. Bo właściwie, to co się miało dla mnie zmienić? Nadal tak samo chodziłem na imprezy, nadal chlałem wino w bramach, nadal podrywałem dziewczyny w szkole. Jedyne, co realnie się zmieniło to, że z podwórek wyganiała mnie policja, nie milicja. A potem przyszła hiperinflacja i wszystkim wolność odbiła się czkawką. Nikt już nie myślał o demokracji, „Solidarność” trafiła do kategorii „w dupie to mam”. Ważne było, żeby mieć, co do garnka włożyć, kupić buty na zimę albo rachunki opłacić. Nawet trzysta milionów zrobiło się gównem warte. I nagle w tym beznadziejnym bajzlu pojawił się ktoś, kto sprawił, że rzeczy nabrały sensu.

To, o czym zaraz wam opowiem, wydarzyło się w przeciętnym mieście, pośród przeciętnych ludzi, w zupełnie przeciętnej szkole. Wszystko było tam przeciętne. Wszystko prócz Bartka. Chodziliśmy razem do największego w mieście zespołu szkół – on do podstawówki, ja do liceum. Obie szkoły znajdowały się w jednym budynku, dzięki czemu miałem okazję na niego wpaść. Bartek miał osiem lat, ale już wtedy zupełnie do nas nie pasował. Był obdarzony darem wrażliwości. Owszem, można by zacząć opowieść od tego, jakie to dziwne rzeczy działały się wokół niego. Ale o tym później. Zresztą, zacznę od początku.

Pierwsze dni września, chyba trzeci, lub czwarty dzień nauki. Idę sobie zatłoczonym korytarzem, zapatrzony w przepięknie kołyszący się tyłek Anki. Przyznam, że miałem na nią ochotę już od dłuższego czasu i to nie tylko na jeden, szybki numer. Miałem na myśli zdecydowanie więcej. Rozumiecie, taka licealna miłość. Była fascynująca, miała w oczach coś, co przyciągało wzrok, ale jeśli nie dało się popatrzeć w jej oczy, to i tak było co podziwiać. No i tak idę, jak zombi, wpatrzony w jej krągłości i nagle - łup! Coś z ogromną siłą walnęło we mnie, efektem czego wyładowałem na podłodze. Anka tylko odwróciła się, spojrzała na mnie i z uśmiechem poszła dalej. Mówię wam, miała na mnie ochotę. Była to, co prawda, najbardziej niezdobytą twierdzą w całej szkole, ale ja miałem przecucie. Niby tylko nauka, prace domowe i serce jak kamień. Żadnych facetów i randek. Ale ja i tak czułem, że ją dopadnę. W każdym razie zwróciłem uwagę na osobę, która mnie wywróciła. Już

miałem zamiar objechać, na czym ziemia stoi, a tu patrzę, spod sterty książek gramoli się gnom. To był Bartek. Podniósł się nieco pokracznie i spojrzał na mnie. Wyglądał śmiesznie. Zza ogromnych okularów patrzyły wielkie, zielone oczy. Chłopak miał na sobie luźny, wyciągnięty sweter i za duże spodnie. Spod zawiniętych rękawów wystawały końcówki palców. Był niski, jak na swój wiek. Przez chwilę stał, mieląc w palcach skraj swetra i wpatrując się we mnie. Od tego spojrzenia zrobiło mi się ciepło. Bartek zaczął zbierać książki. Wstałem i jedną z nich podniosłem.

– „Ania z zielonego wzgórza” – przeczytałem na głos. – To twoje?

Chłopak cały się zaczerwienił.

– T... tak – odpowiedział cicho, nie patrząc mi w oczy.

– Fajnie, ja też to lubię – odparłem z uśmiechem. Bartek coś mruknął pod nosem, ale nie zrozumiałem, co.

– Jak masz na imię?

– Bartek.

– A co ty robisz w bloku licealnym, co, Bartek?

– J... ja nic, ja ten... eee... chciałem pana...

– Co mówisz?

– Psz... przepraszam.

I uciekł. Zwinny był, skubaniec. Z łatwością przemknął między ludźmi. Stałem tam jeszcze przez chwilę, wpatrując się w ślad za nim. Nie mogłem się nadziwić. Taki mały szkrab, a ja od razu go polubiłem. Miałem ochotę zabrać go ze szkoły i pogadać, albo nie wiem, pobawić się w coś. Szybko jednak oprzytomniałem. No tak, zaczynam myśleć o stałym związku, to i na dzieci inaczej się patrzy. Ruszyłem w swoją stronę, z nadzieją odnalezienia boskiej Anki.

Tak właśnie wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Drugie nastąpiło niedługo potem. Dowiedziałem się też wtedy, co Bartek porabiał w bloku licealnym.

Któregoś dnia, w trakcie przerwy, moją uwagę zwróciło zbiegowisko w Hadesie. Czyli w szatni. Hades to było natchnione miejsce. Znajdował się w piwnicy, był wspólny dla liceum i podstawówki. Nauczyciele rzadko tam zaglądali, więc działa się tam sporo. Bójki, szarpaniny, szlugi w kiblu i jointy, dilerka, hazard, wszystko, co najgorsze. Dzisiaj nazwano by to patologią i z pewnością znaleźlibyśmy się w głównym wydaniu wiadomości. Już widzę tę interwencję w świetle kamer, społeczne zgorszenie i zatroskaną panią minister. Kiedyś to była norma, o czym wszyscy, którzy narzekają na dzisiejszą szkołę, lubią zapominać. Wiedziony ciekawością, zbiegłem na dół i zobaczyłem krąg rozkrzyczonej dzieciarni, przemieszanej z kilkoma dryblasami z liceum. A w środku Bartek. Biegał od jednego byczka do drugiego, w nadziei przechwycenia swojego zeszytu.

Musicie wiedzieć, że zawsze stroniłem od tego typu awantur, ale gdy co do czego przychodziło, to wiedziałem jak zrobić użytek z pięści. I to całkiem nieźle. Tak też i wtedy, wiedziony instynktem i sympatią wobec Bartka, wkroczyłem w krąg i bez większego trudu złapałem zeszyt. Zaległa cisza. Jeden z licealistów podszedł do mnie i zagadnął:

– Te, Kamil, a ty co?

– Co, co?

Tłumek wokół zamarł w bezruchu oczekując konkretnego mordobicia, a dlaczego, to zaraz wam wyjaśnię.

– Złapałeś zeszyt.

– No i?

– Przyłączysz się do zabawy?

Pozostali trzej koleisie, wszyscy z drugiej klasy, zarechotali i otoczyli mnie.

– Nie – odpowiedziałem.

– To oddaj zeszyt i spadaj.

– Malczewski – powiedziałem zniżając głos i patrząc mu w oczy. – Śmierdzi ci z ryja, zejdz mi z oczu.

– Co ty powiesz? – warknął Malczewski zaciskając pięści. – Masz coś jeszcze ciekawego do powiedzenia?

– Pewnie – i z bezczelnym uśmieszkiem dodałem: – Ząb już ci odrósł?

To przeważało. Malczewski rzucił się na mnie z pięściami, ale ja z łatwością ataku unikałem. Złapałem go za rękę, wykręciłem za plecy i pchnąłem nim o ścianę. W tym momencie zaatakowali pozostali trzej, obezwładnili mnie, ale w tłumie znalazło się kilku chłopaków z liceum, którzy nas rozdzieli. Nastąpiła wymiana bluzgów i złorzeczeń, w stylu: nie wchodź mi w drogę, chuju, zabiję cię itd. W końcu rozeszliśmy się do swoich zajęć. Miałem jednak świadomość, że to nie był ostatni raz.

Malczewski chodził do naszego liceum już od czterech lat, ale nadal był w drugiej klasie. Był to po prostu kawał debila z testosteronem zamiast mózgu, a jego ośrodek decyzyjny znajdował się poniżej pasa. Jak tylko zjawił się w szkole, od razu zaczął burzyć tutejszy spokój, gromadząc wokół siebie innych zakompleksionych debili i terroryzując słabszych uczniów, głównie tych z podstawówki. Od razu wpadliśmy sobie w oko i delikatnie mówiąc, nie polubiliśmy się. Zdarzało nam się prac, gdzie popadło. Czasem po mordzie dostawał on, czasem ja. No, głównie on, bo jak mówiłem, nieźle umiałem się bić. Ostatnio nawet udało mi się wybić mu zęba. Takich jak Bartek, Malczewski i spółka lubili najbardziej. Cichych, spokojnych, takich, co się na pewno nie obronią. Dlatego mnie unikają.

Żeby uniknąć dalszej rozróby, zaciągnąłem Bartka na piętro.

– Proszę, to twój zeszyt.

Chłopak przez chwilę miał w dłoniach skraj swetra, wreszcie swoimi wielkimi oczami spojrzał na mnie.

– Dzię... kuję.

– Nic ci nie jest?

– Nie. – Bartek cały czas nerwowo się rozglądał.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Oni już nie wrócą. Chodź, zaprowadzę cię do klasy.

– Nie do klasy. Do biblioteki.

– A po co?

– Tam... tam pracuje moja mama.

– Aha! – odparłem – to dlatego ciągle się tu włóczysz.

– Pomagam jej. T... trzeba se... pomagać.

– Dobra, idziemy. Na szczęście nic ci nie zrobili. Daj mi tych książek trochę, poniesiemy razem.

Bartek spojrzał na mnie jak na kosmitę, ale chwilę potem uśmiechnął się szeroko i wcisnął mi stertę książek. Ważyły trochę.

– Dziękuję panu – powiedział, bardzo wyraźnie i odważnie jak na niego, po czym z uśmiechem na ustach ruszył przed siebie, prowadząc mnie przez tłum w stronę biblioteki.

– Nie jestem żaden pan. Jestem Kamil. I tak masz się do mnie... hej, co tak stoisz?

Bartek stanął w miejscu, zadął głowę do góry i wpatrzył się w sufit.

– Słyszysz mnie? Na co się tak gapisz?

– Na pajaka. Widzisz go? O, tam jest, biegnie po rurze.

– Rura biegła przy zetknięciu sufitu ze ścianą. Przyglądałem się jej, ale żadnego pajaczka nie zauważyłem.

– Tam nic nie ma. Przywidziało ci się.

– Jest, zobacz jaki ładny. Ma wzorek na plecach.

Podszedłem bliżej, stanąłem na ławce i przyjrzałem się dokładnie. Faktycznie, pajak był. Ledwo go dostrzegłem, ale już wzorka na plecach za cholerę. To było niesamowite. Taki mały grzdyl i jeszcze z takimi wielkimi pinglami!

– Jak ty go dojrzałeś?

– Nie dojrzałem. Usłyszałem.

– Usłyszałeś mówisz? A skąd wiesz, że ma wzorek na plecach?

– Pochwalił mi się.

– Co?

Zanim zdążyłem o cokolwiek więcej zapytać, doszliśmy do biblioteki. Nawet nie wiem kiedy. Przed drzwiami ustawiała się spora kolejka. Weszliśmy do środka, minęliśmy ladę, regały z książkami i zatrzymaliśmy się przy biurku zavalonym papierzyskami. Siedziała tam urocza kobieta. Miała na oko trzydzieści kilka lat, okulary i długie blond włosach spięte w kuc. Spojrzała na mnie, potem na Bartka i podniesionym głosem spyła:

– Coś znowu zrobił?

– Mamo, bo ja...

– Proszę pani – wtrąciłem się – proszę na niego nie krzyczeć, to nie jego вина.

– A pan to kto? – spytała. Miała bardzo miły i ciepły głos.

– Kamil Puszczek – przedstawiłem się. – Trzecia „c”, bardzo mi miło.

– Marlena Chojnicka. No i?

– No i nic. Kilku buraków z drugiej liceum zaczepiło Bartka w szatni i zabrali mu zeszyt.

– Czy Bartek... – Pani Chojnicka zamarła, zamilkła, przestraszyła się. Nie zrozumiałem, co ją tak poruszyło, ale skąd mogłem wiedzieć?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nie zrobili mu krzywdy. Po prostu wygłupiali się.

– Biliście się?

– Tak, tak! – wtrącił się Bartek. – Kamil ich złapał, o tak i ziu! – Bartek wykonał kilka dziwnych gestów, udających ciosy karate, krzycząc przy tym jak Bruce Lee.

– Bartosz, ciszej – skarciła go mama. – Jesteśmy w bibliotece. Dziękuję ci Kamil. On wiecznie pakuje się w kłopoty.

– Nie ma sprawy. Gdyby Bartosz potrzebował kiedyś pomocy, proszę od razu do mnie. Zawsze znajdę czas.

– Wiesz, on w zasadzie nie ma problemów. – Brzmiała niepewnie, patrzyła na malca z ukosa. – Z wyjątkiem matematyki – dodała z uśmiechem.

– Brrr... nie cierpię matmy – skrzywił się Bartek.

– Żaden problem – odparłem. – Kiedy umawiamy się na korepetycje?

– Kamil, nie możemy zajmować ci czasu, na pewno masz mnóstwo nauki.

– Naprawdę, nie ma sprawy.

– Ale, Kamil, my nie bardzo mamy... to znaczy nie będę mogła ci zapłacić. Nie tak od razu.

– Herbatę pani w domu ma?

– Słucham?

– No, herbatę. Najbardziej lubię earl grey. Godzina korepetycji za kubek herbaty. Koniec dyskusji, więcej zniżyć nie mogę, ja też mam swoje koszty.

Mama Bartka patrzyła w milczeniu, jakby chciała zajrzeć mi głęboko w oczy, ale wreszcie zgodziła się. Umówiliśmy się na piątek, na piętnastą. Z szerokim uśmiechem, dziwnie uradowany, pożegnałem Bartka, jego mamę i z zapisanym na kartce adresem, wyszedłem. Wychodząc z biblioteki wpadłem na Ankę.

– Kamil! Ty tutaj? – zapytała z potężną dawką ironii w głosie. Uważała mnie za leniwego bęcwała, któremu tylko imprezy i spódniczki w głowie. Cóż, częściowo miała rację, ale oprócz tego byłem diablo inteligentny. Tylko, że ona tego nie wiedziała, a ja się nie chwaliłem.

– Tak, ja tutaj. Co w tym dziwnego?

– Nie sądziłam, że w naszej bibliotece są gazetki z gołymi dupami.

– Oj, kochana, ty mnie wcale nie znasz. Jeślibyś chciała wiedzieć, to znam panią Chojniewską...

– Chojnicką.

– Właśnie. Udzielam jej synowi korepetycji z matmy.

– Serio? – skrzywiła się. – A za ile?

– Za darmo. Pomagam im. Trzeba sobie pomagać, nie?

Zrobiłem na niej wrażenie. Stała z otwartymi ustami, bardzo zresztą ponętными i wpatrywała się we mnie. Zanim coś powiedziała, poszedłem sobie. Czułem, jak rośnie we mnie poczucie dumy.

2.

Tak jak się umówiliśmy, w piątek, od razu po lekcjach, ruszyłem do domu Bartka. Mieszkał w jednym ze starszych blokowisk naszego miasta, dość daleko od szkoły. Jego osiedle było jak na tamte czasy całkiem sympatyczne. Przestrzeń między blokami wypełniała zieleń, a huštawki i drabinki z metalowych rur pospawano całkiem starannie. Ludzie spacerowali z psami, siedzieli na ławkach, a okoliczna dzieciarnia robiła mnóstwo krzyku. Działał tam pierwszy w mieście salon gier komputerowych, z którego dochodziły głośne przekleństwa grającej młodzieży. Znałem to miejsce doskonale, ponieważ często przepuszczałem tam wysepione w szkole drobniaki.

Drzwi do mieszkania Chojnickich były uchylone.

– Dzień dobry! – zawołałem. – Tu Kamil!

Ze środka dobiegł głos pani Chojnickiej.

– Wejdz, wejdz.

Znalazłem się w ciasnym korytarzu. Sterty książek utrudniały przejście, a mieszkanie było raczej biedne. Oparte o ścianę lustro nie miało bez ramy, wieszak na kurtki zrobiono z deski i gwoździ.

– Dzień dobry, Kamil. Wejdz tutaj – powiedziała mama Bartka, wskazując pokój obok. Zanim tam wszedłem, zajrzałem do kuchni, w której, oględnie mówiąc, panował chaos. Na podłodze leżały kawałki szkła, potłuczone kubki, talerze, pogięte łyżki i odłamki drewna. Szyba w oknie pękła, a podarte firanki bezwładnie zwisały z karniszy, mocząc się w zlewozmywaku. Na kuchence gazowej stały resztki czajnika, który wyglądał, jakby dopiero co eksplodował.

– A tak – zauważyła moje spojrzenie Chojnicka. – Koty się nam rozszalały – powiedziała, stanowczo wypychając mnie z kuchni.

Pokój Bartka wyglądał na równie zagracony co korytarz. Koty? Co za ściema? Obecności choćby ćwierć zwierzaka nie zauważyłem, ale gdyby jednak mieszkaly tam jakieś sierściuchy, to jakim cudem potłukły szybę w oknie i rozsadziły czajnik?

– Bartosz zaraz wróci, posłałam go do sklepu – krzyknęła z kuchni pani Chojnicka.

– Może ja pani pomogę?

– Nie, nie. Nie trzeba, poradzę sobie.

Zostałem sam w niewielkiej rupieciarni. Zalegało tu mnóstwo różnego rodzaju staroci. Kurzyły się lampy gazowe i naftowe, kilka sztuk fajansu, wartego pewnie kupę kasy, jakieś figurki, rzeźby, obrazy, niekoniecznie porozwieszane na ścianach. W kącie stała sztaluga z zagruntowanym płótnem, gdzie dało się odróżnić zarys portretu. Oczywiście królowały tu książki, mnóstwo książek. Nowych, starych i bardzo starych. Niektóre miały pewnie ze dwieście lat. Stały na regałach, w stertach na łóżku i pod stołem. Na jednej z takich książkowych kolumn leżały pozwijane tubki farb olejnych i pędzle. Mimo bałaganu czułem się bardzo dobrze, ciepło i bezpiecznie. To, jak czułem się u kogoś w domu, zawsze było dla mnie ważne, dużo mówiło na temat danej osoby. Zwykle im lepiej się u kogoś czułem, tym lepiej się z tym kimś dogadywałem.

W końcu pojawił się Bartek.

– Cześć Kamil. Chodź, pokażę ci mój pokój – powiedział i pociągnął mnie za rękaw. Zanim mnie wyprowadził, dyskretnie wyjrzał przez ledwie uchylone drzwi i dopiero po chwili przemknęliśmy przez korytarz.

Nie będę ukrywał, że i tu bardzo mi się podobało. Z sufitu zwisały eskadry modeli plastikowych samolotów, półki oblegały na zmianę podręczniki i komiksy oraz parę książek o tematyce fantasy i science-fiction. Ściany nie były ot tak sobie pomalowane na jakiś tam kolor, tylko ozdobione malowidłami, prawdopodobnie autorstwa pani Chojnickiej. Malowidła przedstawiały różnego rodzaju scenki z udziałem smoków, rycerzy, wojowników i magów. Oczywiście wisały tu również plakaty - muzyczne, kinowe i książkowe. Wisząc ramię w ramię, spoglądali na mnie Def Leppard, Czerwone Gitary i Roxette. Obok mroczne spojrzenia rozsiewał Arnold w roli Terminatora, a dalej w roli Conana. A z sufitu spoglądał na nas Nazgul rodem z Trylogii Tolkiena. Bartosz zresztą szybko wytłumaczył mi, co i skąd wziął. Okazało się, że plakaty filmowe załatwiał mu pan Romek z wypożyczalni, plakaty z Trylogii wysłał mu wujek z Warszawy, a większość modeli to albo mama kupowała w Składnicy Harcerskiej, albo kolejny już wujek wysyłał z Czechosłowacji. Komiksy brały się ze specjalnej kupki w księgarni. Sprzedawca wiedział, czego Bartek jeszcze nie miał i jak coś nowego się trafiło, to zawsze mu odkładał.

Zaczyznałem powoli rozumieć świat małego Bartka. A także powody jego odosobnienia. Chłopak pokazywał mi to i owo ze swoich skarbów, kiedy przyszła jego mama z herbatą i zapędziła nas do korepetycji. Męczyliśmy zadania i regułki prawie dwie godziny. Przez ten czas pani Chojnicka nie zajrzała do nas ani razu. Bartosz jęczał, wzdychał i marudził, za każdym razem, gdy kazałem mu coś powtarzać albo gdy podsuwałem kolejne zadanie. Ale jako tako nam poszło. Mały całkiem nieźle chwycił, widać było że nie jest super lotny w matematyce, ale pomyślałem, że jak go mocno przycisnąć to nawet i na czwórkę powinien wyciągnąć. W każdym razie około siedemnastej pożegnałem oboje i ruszyłem do domu tranzytem przez starówkę, gdzie spotkałem kilkoro znajomych. Oczywiście nie obyło się bez piwa. Do domu wróciłem śmierdzący piwskim, ale bez strachu - moi rodzice byli pod tym względem bardzo tolerancyjni. Nawet palić mi pozwalali, ale zawsze podkreślali, że papierosy to sobie muszą sam kupować. Byli zresztą zadowoleni, że udzielam korepetycji, a zwłaszcza mój ojciec, który ucieszył się, że może wreszcie nie będę podbierał mu fajek z kieszeni. Postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu.

Po dwóch kolejnych korepetycjach spotkałem się z Bartkiem w celach zupełnie nienaukowych. Była to pierwsza z serii dziwnych przygód, które Bartek mi zaserwował. Któregoś dnia zaczął mnie w szkole na przerwie.

– Potrzebuję pomocy, ale nie z matką.

– Tak? A z czym?

– A nie powiesz nikomu?

– W życiu – odpowiedziałem. Zdążyłem się przez ostatni czas nauczyć, że przy tym szkrabie lepiej nie ściemniać. Każde kłamstwo albo nawet drobne nagięcie prawdy potrafił od razu wyczuć.

– To słuchaj, bo ten, no. Mama to mi nie pozwala, ale ja sobie sam nie poradzę, bo się trochę, eee, no wiesz.

– Co?

– Trochę się boję.

– Czego?

– Psa.

– Bartek, o co ci chodzi? W czym ja mam ci pomóc?

Bartek zaciągnął mnie na ławkę pod oknem. Usiedliśmy, a on pochylił się lekko w moją stronę i szepnął:

– Bo ja buduję pułapki.

– Jakie pułapki?

– Takie na złych ludzi, no, wiesz, żeby nie mogli przejść do nas.

– Jak do nas?

– No, wiesz – rozejrzał się – z drugiego świata.

Trochę zdurniałem. Drugi świat, źli ludzie, pułapki - dziecinne zabawy.

– A czemu ty się tym zajmujesz?

– Bo mam takie zadanie.

– Rozumiem. A kto ci je nadał?

– Taki jeden pan, ale mama nie pozwala mi o tym mówić.

Mały miał bardzo wybujałą wyobraźnię. Pomyślałem więc, że na pewno nie zaszkodzi zobaczyć, o co chodzi. Przynajmniej sprawdzę, czy mały jak się bawi, to nie robi sobie albo komuś innemu krzywdy.

– No, dobra. A gdzie tą pułapkę chcesz założyć?

– Na budowie koło dworca.

– A w czym ja miałbym pomóc?

– No, bo tam trzeba pułapkę, wiesz, założyć w jednej piwnicy. Ale tam jest ciemno i tam chodzi taki jeden pies, w tej piwnicy i ja się go boję. On nic złego nie robi, tylko patrzy i tak głośno sapie. Ale ja i tak się go boję. A jak ktoś ze mną pójdzie, to on się nie pojawi.

Dziwnie to wszystko brzmiało. Chciałem jakoś to skomentować, że to niepoważne, że to durne zabawy. Ale powstrzymałem się. Po pierwsze, bo pomyślałem sobie, że przecież dzieci tak właśnie mają, w takim świecie żyją - pełnym ciemnych zakamarków, potworów i strachów. A po drugie, krótka wycieczka w ten właśnie świat może być całkiem odświeżająca. Zwłaszcza, że naprawdę lubiłem towarzystwo tego sznurka w wielkich binoklach.

– Okej, niech będzie – oznajmiłem. – Jak się umawiamy?

– Kończę lekcje za piętnaście druga, a ty?

– Ja też.

– To super. Spotkamy się przy wejściu i pójdziemy.

– Bartek, wiesz...a, nie ważne. Dobra. Jesteśmy umówieni.

Przez moment chciałem go poprosić, żebyśmy się nie umawiali przed szkołą, bo cholera wie, jakie komentarze polecą, jak mnie ludziska zobaczą, że się z takim dzieciakiem umawiam. Ale dlaczego niby ja się miałbym przejmować tym, co powiedzą inni? W końcu to moja sprawa i jeśli mam ochotę pójść na spacer z drugoklasistą, to kto mi zabroni? Poza tym niech się udławia. Szczerze mówiąc, miałem trochę dosyć tej śmietanki towarzyskiej mojej klasy i całej szkoły.

Zacząłem czwartą klasę liceum z pewnym niesmakiem. Te same gęby, te same miejsca, klimaty, imprezy, a ja ciągle dusza towarzystwa, naczelny imprezowicz klasy. Potrzebowałem jakiejś odmiany, czegoś nowego. Czegoś prawdziwego. To, co miałem wcześniej, było jakimś tam sposobem na życie, ale nigdy do końca nie byłem z niego zadowolony. Trochę sam siebie oszukiwałem. Niby to mój świat, moje życie, ale tak naprawdę wszystko to służyło mi tylko do tego, żeby się wybić z tłumu, nie być przeciętniakiem. Kto teraz zwraca uwagę na to, że ktoś jest inteligentny? Za mądre wypowiedzi i dyskusje z nauczycielami mogą co najwyżej przykleić ci etykietkę kujona albo, co gorsza, włazidupa. A nie na tym mi zależało. Wtedy jeszcze nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, jak wygląda moje życie i jaki los sobie zgotowałem. Można powiedzieć, że miałem na ten temat wyrobione zdanie, ale absolutnie się z nim nie zgadzałem. Ani nie słuchałem intuicji. I, najzwyczajniej w świecie, pewnych myśli do siebie nie dopuszczałem.

– Wiesz, co? – zapytał Bartek. Patrzył na mnie jakoś tak dziwnie głęboko. Z czasem miałem przywyknąć do tych jego świdrujących spojrzeń, ale wtedy było to dla mnie coś nowego. – Oni nie są warci tego, żebyś się martwił.

– Co mówisz?

– No, wiesz, to o czym myślałeś. Oni naprawdę lubią cię dlatego, bo jesteś lepszy. Ale to nie są przyjaciele.

– Bartek, cholera, co ty wygadujesz? Skąd ty możesz wiedzieć co ja myślę?

– Bo słyhać. Dobra, nic się nie martw. To ja lecę. Pa! Zobaczymy się po lekcjach! – I pobiegł. Naprawdę strasznie był szybki. Zostawił mnie tak na tej ławce i się zmył, a ja siedziałem jeszcze przez parę minut jak ten kołek i nie wiedziałem co zrobić. Ani co o tym myśleć. Przez niego spóźniłem się na biologię. I znowu od Romaszkowej ochrzan dostanę. Ech, życie.

3.

Spotkaliśmy się przed szkołą. Bartek był strasznie podniecony nadchodzącą wyprawą. Chciałem go zapytać o naszą wcześniejszą rozmowę, ale nie dał mi nawet dojść do słowa. Po drodze opowiadał o swoich pułapkach i złych ludziach. Okazało się, że źli ludzie, to istoty nie z tego świata, tylko, można powiedzieć, z równoległego.

– Czasem między jednym światem, a drugim powstają takie małe szpary – tłumaczył Bartek – i niektóre istoty przechodzą do naszego świata. A, że one absolutnie nie chcą być w naszym świecie, więc próbują się wydostać i robią przy tym mnóstwo hałasu. Wtedy ludzie myślą, że słyszą duchy, które próbują ich nastraszyć.

– To dlaczego nazywasz ich złymi ludźmi, skoro tylko chcą wrócić do domu?

– Istoty robią się złe, jak już długo czasu nie mogą się od nas wydostać. Wtedy psują im się humory i zaczynają nam dokuczać. A czasem to i się nawet można od tego dokuczania rozchorować. Albo nawet umrzeć, wiesz?

– Poważnie?

– No. Dlatego trzeba te pułapki zastawiać, bo wtedy źli ludzie się przestraszą i uciekną przez szparę, zanim się zamknie. No i nie będzie ich w naszym świecie.

– Już to widzę. – Wyobraziłem sobie artykuł w lokalnej prasie na temat nagłego spadku doniesień o grasujących po okolicy duchach. Ale, co by nie mówić, pomysł był ciekawy.

Budowa przy dworcu stała nietknięta już od dwóch lat. Nikt nie wie, co miałyby się mieścić w powstającym tu budynku, ale był cholernie duży i rozległy. Wysoki na pięć pięter, a widać, że to jeszcze nie koniec, dwuskrzydłowy z dodatkową, dwupiętrową przybudówką przy krótszym ogonka litery „L”. Przyznaję się z ręką na sercu, że co nieco znałem rozkład tamtejszych korytarzy, schodów, piwnic i pomieszczeń, ponieważ wielokrotnie piliśmy tam z kumplami jabolę, a parę razy nawet i z policją w ciuciubabkę się bawiliśmy. Ciecica żadnego nigdy tam nie było. Stał sobie taki moloch i straszył. Siedlisko żuli i nastolatków. Chłopaki mówili, że raz na jakiś czas coś tam sobie wyje i zawodzi. Ale przy takiej ilości kotów i bezpańskich kundli, które miały tu swoje legowiska, nie ma się co dziwić, że w nocy bywało tam strasznie.

Przeleźliśmy przez dziurę w płocie, rozejrzeliśmy się, czy aby ktoś nas nie obserwuje i między stertami betonowych płyt, dopadliśmy do budynku.

Do piwnicy udało się wgramolić przez małe okienko. Wszędzie panowała jasność. Przy tej ilości dziur w fasadzie i fundamentach budynku, nawet na samym dnie szybu windy było jasno. Ale zacząłem kojarzyć jedno miejsce, w do którego światło faktycznie nie miało dostępu. Bartek zresztą w tamtym kierunku się skierował. Było to nieznanego mi przeznaczenia pomieszczenie, bardzo rozległe, które wyglądało jak błąd w sztuce projektowania. Pomieszczenie miało ono żadnego wejścia, tylko szczelinę między ścianami przybudówki i głównego budynku. Ze względu na brak okien, w środku panowała ciemność, a jedyny snop światła, jaki wpadał do środka przez szczelinę, oświetlał zaledwie ułamek powierzchni. Pomieszczenie tworzyły zewnętrzne ściany budynku i jakieś jeszcze dwie, których za cholerę nigdy nie potrafiłem zlokalizować, a zamiast betonowej podłogi, mieliśmy piaskowe klepisko.

Bartek z pewną nieśmiałością wszedł do środka. Krok po kroku, wchodził coraz głębiej, cały czas rozglądając się i co chwila spoglądając na mnie. Wreszcie, mniej więcej na środku sali, gdy widziałem już tylko niemrawy zarys jego sylwetki, zatrzymał się. Zdjął plecak i wyciągnął z niego sieć. Rozłożył

ją na ziemi, po czym wygrzebał z plecaka kilka dużych, zagiętych gwoździ. Podeszedłem bliżej, zapaliłem zapalniczkę, żeby lepiej się przyjrzeć. Bartek po kolei wbijał gwoździe między oka rozciągniętej na klepisku sieci i mocno ją naciągnął. Z kilkoma gwoździami musiałem mu pomóc, bo okazały się za mało wygięte. Chłopak sprawiał wrażenie jakby w ogóle nie potrzebował do tego światła. Zwróciłem na to uwagę w chwili, gdy nagrzana zapalniczka oparzyła mi palce. Mimo ciemności, Bartek nadal uwijał się przy swojej pułapce.

– I co? – zapytałem szeptem. – Jak to będzie działać?

– Cii, jeszcze nie skończone. Teraz się odsuń kawałek.

Zrobiłem kilka kroków w tył. Bartek podeszedł do snopu światła, dzięki czemu mogłem zobaczyć, co dalej robił. A było to bardzo dziwne. Stanął obok sieci i przez chwilę w ogóle się nie ruszał. Tylko miarowo oddychał. Chwilę tak trwał, po czym zaczął wykonywać dziwne ruchy nad siecią. Bez słowa zatoczył wokół niej koło, cały czas wymachując rękami, wykonując jakieś obroty, przysiady, czasem dotykał sieci i dmuchał w jej stronę, parę razy musnął końcami palców gwoździe. Patrzyłem na to oniemiały. Ciekaw byłem, co też on sobie w tej chwili wyobraża. Nie zastanawiałem się co to za wariactwo, ani że bez sensu tracę czas - nic z tych rzeczy. Byłem po prostu szczerze ciekaw, co też mały sobie wyobrażał. Indiański szaman? Może zły nekromanta, demonolog? Albo mag z czarodziejskiej krainy. Taki, kurde, Gandalf.

– Prawie gotowe – odezwał się w końcu. Chwilę odsapnął, po czym nachylił się, żeby sięgnąć po swój plecak. I wtedy zamarł. Patrzył w głąb sali i lekko drżał. Dосkoczyłem do niego szybko i chwyciłem za ramię. Ten, sztywnym ruchem, wyprostował się.

– Co jest? – zapytałem szeptem.

– Tam jest – odpowiedział Bartek.

– Kto? Pies?

– T...t...tak.

– Gdzie? Nic nie widzę?

Chyba dałem się wkręcić w zabawę Bartka, bo naprawdę próbowałem wzrokiem przebić ciemność. Ale mimo szczerych chęci, niczego nie zobaczyłem.

– Tam, w kącie. Stoi i patrzy na nas. I sapie.

– Bartek, niczego nie widzę. Sapania też nie słyszę.

– Mówię ci, że jest. – Bartek oddychał coraz szybciej. Przestraszył się nie na żarty, to już nie była zabawa. On naprawdę myślał, że coś tam tkwiło. Chciałem o coś go zapytać, czy może pocieszyć, ale on w tym momencie głośno krzyknął i wybiegł.

Zanim się zorientowałem, już go nie było. Słyszałem tylko jego oddalający się krzyk. Też miałem zamiar wyjść. Obróciłem się w stronę sali, żeby kontrolnie rzucić okiem i też zamarłem. Wychwyciłem jakiś ruch po mojej prawej. Żadnego konturu, postaci, cegokolwiek. Tylko wrażenie ruchu. Co tu dużo mówić - zlałem się potem, nogi zrobiły mi się jak z waty, a serce zwariowało. Oto

jak mną, dorosłym licealistą, zawładnęła wyobraźnia drugoklasisty. Długo nie myśląc, ostrożnie opuściłem to miejsce.

Bartka już nie było. Pewnie pognał do domu. Następnego dnia, gdy spotkaliśmy się w szkole, zapytałem, co się stało, na co on tylko odpowiedział, że jest zły, bo nie skończył pułapki. I się zmył. Potem o całym zdarzeniu chyba zapomniał, bo więcej o nim nie wspominał.

Minęło parę tygodni. Oczywiście kontynuowałem akcję „siłaczka”, czyli nadal udzielałem Bartkowi korepetycji. Ślady kuchennego huraganu dawno zniknęły, a wszelkie próby poznania powodów tamtej zadymy, spełzły na niczym. Gdy próbowałem dopytać, mama Bartka zmieniała temat.

Potem zrobiło się sporo klasówek, więc ze dwa razy nawet zająrzałem do książek. Pokręciłem się po mieście, wdałem się w awanturę z Malczewskim, pograłem trochę w nogę na szkolnym boisku, a weekendy...no cóż, te „upłynęły” mi piorunem. W międzyczasie często spotykałem Bartka w szkole i odpytywałem go na szybko z matmy, pomagałem z książkami, a nawet raz zagrałem z nim w warcaby. Ehem... pominę kwestię wyniku, ponieważ mój iloraz inteligencji oraz przerośnięte ego zawyły z bólu. Dobrze, że nie graliśmy na kasę. Mały pewnie oskubałby mnie do gaci, taki gnom był sprytny. I cholernie szybki. Czasem wydawało mi się, że nie używa nawet rąk, żeby przesuwac pionki. Później spotykaliśmy się coraz częściej, już nie tylko na korepetycjach. Chodziłem z nim i z jego mamą na zakupy, prowadziłem Bartka na basen, odwiedzałem ich w domu. Zacząłem też z własnej, nieprzymuszonej woli czytać książki, które polecała mi Bartka mama - nie tylko te z zakresu lektur szkolnych! Często przesiadywałem z Bartkiem w bibliotece, o czym plotka rozeszła się po szkole błyskawicznie. Tak samo jak wieść o korepetycjach. Co niektórzy kumple podchodzili do mnie, klepali po ramieniu i pytali czy wszyscy zdrowi albo stwierdzali, że „spoko, niedługo mu przejdzie”. Czasem dziwili się: „stary, ocipiałeś? Co ty w bibliotece robisz?” A ja po prostu spędzałem czas w sposób, o jaki nigdy bym się nie podejrzewał. Czy to bawiąc się w berka, chowanego, czy po prostu szwendając się z Bartkiem po różnych magicznych miejscach. No i na nowo poznawałem świat z perspektywy dziecka. Niezwykłego dziecka.

Bartek stawał się dla mnie w jakiś kompletnie niezrozumiały sposób bardzo ważną osobą. Był skryty, nie ujawniał się zbyt chętnie ze swoimi myślami i marzeniami. Potrafił zapatrzeć się w jakiś odległy punkt i trwać tak długie minuty. Albo śledzić biegnącą po ziemi mrówkę i przeżywać to zdarzenie, jak coś absolutnie wyjątkowego i niepowtarzalnego. Czasami wydawało mi się, że mówi do siebie, grając kilka postaci na raz albo, że rozmawia z wyimaginowanymi postaciami, czy nawet zwierzętami. Był też bardzo wrażliwy. Wszystkim się przejmował, niczego nie pozostawiał obojętnie, każdy bodziec wywoływał u niego jakąś, często dość gwałtowną, reakcję - śmiech, płacz, smutek, zachwyt. Można by pomyśleć, że był humorzysty, ale to nie o to chodzi - on po prostu reagował na wszystko, co się wokół niego działo. Zauważał rzeczy, nad którymi ja i większość ludzi przeszła by bez zastanowienia do porządku dziennego. Czy to rozjechany gołąb na asfalcie, czy pijak na ławce, czy jaskrawego koloru samochód. Ale też i bardziej prozaiczne zdarzenia i rzeczy - kapsel na trawniku

wymagał długiej dyskusji skąd i jak się tam znalazł. Spodnie przy śmietniku musiały mieć wymyślonego właściciela i powód, przez który się tu znalazły. Patyk wbity w szczelinę w chodniku na pewno miał jakieś konkretne przeznaczenie i koniecznie trzeba dociec, jakie. Bartek, skupiał się na takich problemach i zawsze po dogłębnej analizie zagadnienia znajdował gotową odpowiedź i wersję wydarzeń, a zapytany skąd to wie, twierdził, że wystarczy posłuchać przedmiotu. Cały czas utrzymywał się jakby trochę poza światem, omijając jego wielkie sprawy. Był kapłanem i ostatnim prorokiem tego, co zapomniane i nie istotne. Był mistrzem banału i nadinterpretacji. Początkowo patrzyłem na to wszystko jak na dziwactwo, fanaberię, czy po prostu wybujałą wyobraźnię. Z czasem jednak przestawałem się dziwić, a później zacząłem też w tych dociekaniach uczestniczyć. Aż wreszcie, powoli, zaczynałem rozumieć o co chodzi, samemu wychwytyjąc coraz więcej, ukrytych pod płaszczykiem cywilizacyjnego pędu, drobnych rzeczy, z których przecież każdy niósł ze sobą jakąś historię. Ale nie będę uprzedzał faktów. Te największe odkrycia były dopiero przede mną.

4.

Im więcej spędzałem z Bartkiem i z jego mamą czasu, tym coraz lepiej poznawałem jego świat, a on coraz bardziej się przede mną odkrywał. Odsłaniał swoje myśli i marzenia. Zresztą, pierwsze marzenie, z jakiego mi się zwierzył, natychmiast zrealizowałem. Chodziło o rower. Za całe swoje kieszonkowe kupiłem mu takowy i nauczyłem go jeździć, bo marudził też, że nie umie. Rower był przyczyną drobnej utarczki z panią Chojnicką, która roztoczyła czarne wizje Bartka rozsmarowanego na jezdni podczas pierwszej, samotnej wyprawy. Szczęśliwie do niczego takiego nie doszło. W międzyczasie nie zapominałem oczywiście o swoich obowiązkach towarzyskich. Sumiennie i regularnie odwiedzałem wszelkiej maści imprezy, jakie znajomi organizowali, czy też inne wypadki na miasto. Nie zapominałem o obowiązkach prawdziwego ucznia, czyli ściąganiu, wagarowaniu i szydzeniu z ciała pedagogicznego. I nawet nie zauważyłem kiedy zaszły we mnie istotne zmiany. Kwestie lekceważenia ważkich punktów regulaminu szkoły, dotyczących palenia tytoniu i spożywania alkoholu na terenie szkoły odeszły w zapomnienie, ponieważ nagle przestałem odczuwać potrzebę „walki z systemem” w postaci jarania w kiblu, czy picia jaboli za garażami szkolnymi. Ostentacyjne omijanie biblioteki i czytelní przeminęło wraz z jesiennym wiatrem, bo nagle się okazało, że jest tam kilka, a nawet sporo rzeczy, które nabrały dla mnie znaczenia i wartości samej w sobie. A moja znajomość z Chojnicką i jej synem stała się w szkole przedmiotem wielu dociekań i spekulacji. Niektórzy podejrzewali mnie nawet o romans z mamą Bartka. W sumie? Gdyby była młodsza o dziesięć lat, to kto wie?

Zmiany jakie zaszły we mnie szczególnie dobitnie dało się wychwycić na klasowych imprezach, czy wypadach w miasto. Owszem, nadal piłem, paliłem i szalałem na parkiecie przy co cięższych kawałkach, ale już inaczej. Tak jakby bardziej świadomie. Nie upijałem się już do upadłego, nie rzygałem pod stoły i nie łapałem za tyłki koleżanek. No, przynajmniej nie tak od razu. Za to więcej

czasu spędzałem na rozmowach, dyskusjach i dociekaniach we wszelkich tematach, jakie mogły poruszać ludzi z mojej klasy. W szkole mniej czasu poświęcałem na szukaniu kłopotów, w zamian za to zainteresowałem się i nawiązałem pierwsze, pozalekcyjne kontakty z do niedawna znienawidzonymi istotami z gatunku „nauczyciel polski vulgaris”. Okazało się, że są to też ludzie, którzy nawet czasem mają coś ciekawego do powiedzenia, prócz zwykłego, programowego głędzenia. Odbyłem kilka bardzo ciekawych dyskusji z facetem od polskiego, kilka z WOSistą, nawet zdarzyło mi się zamienić parę słów z naszą fizyczką na tematy związane z teorią względności, która chwilę wcześniej zafascynowała mnie swoją prostotą i mnóstwem implikacji natury filozoficznej.

Koledzy zaczęli patrzeć na mnie jak na ufoka. Ale naprawdę zaczęli się o mnie martwić po kolejnym spotkaniu z Malczewskim. Tym razem nie skończyło się mordobiciem, nie przywaliłem mu w ryj po krótkiej utarczce słownej, jak to zwykle bywało. Stanęliśmy parę centymetrów od siebie, czując na sobie swoje oddechy, otoczeni przez wianuszek gapiów, zupełnie jak rewolwerowcy. Zebrani wokół widzowie spodziewali się kolejnego rozlewu krwi, gdy tymczasem cała akcja skończyła się jednym krótkim zdaniem. Spojrzałem Malczewskiemu głęboko w oczy i stwierdziłem coś, już nie pamiętam dokładnie co, w stylu: „nie jesteś wart zachodu, chłopaku”. I ruszyłem w swoją stronę. Mój adwersarz chyba nie do końca zrozumiał, o co chodziło, bo stał tak jeszcze długo i wpatrzony w korytarz analizował to, co przed chwilą usłyszał.

Tak właśnie było. Czas płynął szybko, moja znajomość z Bartkiem obfitowała w coraz to ciekawsze wydarzenia. Podczas jednego z naszych spotkań, kiedy siedzieliśmy akurat na korytarzu, oglądając jakiś nowy komiks Bartka, podeszła do nas Anka K. Była dziwnie zmieszana, patrzyła to na mnie, to na Bartka i próbowała coś powiedzieć. Wyglądała jakby coś się w niej zbierało, jakby coś chciała z siebie wyrzucić, ale nie bardzo wiedziała jak. Nawet dłonie lekko jej drżały.

– Cześć – zagadnąłem. – Siądziesz z nami? – zaproponowałem. Też poczułem dziwne napięcie.

– Nie, dzięki – odparła niepewnie. Ale co by nie mówić, jak zwykle była piękna. Nawet w zwykłych dzinsach i koszuli w kratę, była niesamowicie kobieca. Sprawiała wrażenie kobiecości, nawet gdy tak stała i nie wiedziała co powiedzieć.

– Słuchaj... jak wam idą korepetycje? – zapytała.

– Nieźle – odpowiedziałem. – Bartek chwyta całkiem szybko, tylko cholernie trudno go zmusić do zadań. Ale ogólnie bardzo fajnie.

– Aha. No, to dobrze.

– A co? Czemu pytasz?

– A, nie, tak sobie tylko. Wiesz, co, Kamil... – zaczęła coś mówić, ale znów ją zatkało.

– Ona chce powiedzieć – nagle wypalił Bartosz, nie odrywając wzroku od komiksu – że czuje się przy tobie dziwnie i że nie wie dlaczego, ale cały czas myśli o tobie.

Kompletnie zaskoczeni, spojrzeliśmy na niego z Anką, a ten spojrzał na nas jak na idiotów. Było to jedno z jego strasznie mądrych i głębokich spojrzeń, zupełnie nie przystających do ośmiolatka.

– No, co? A nie?

– Eee... – wymamrotała Anka – no, coś ty, mały, he, he.

– Nie kłam, wiem, co mówię – powiedział Bartek, wracając do lektury komiksu. – Poza tym chciałaś zapytać Kamila, czy tobie też nie pomógłby z matmą. Ale się wstydzisz.

– Bzdura – rzuciła Anka, odzyskując pewność siebie. – Byś się wstydził, Kamil, małego chłopaka namawiać, żeby wygadywał takie głupoty. – Po czym odwróciła się na pięcie i poszła w swoją stronę. Siedziałem tak zbaraniały, że nawet nie zwróciłem uwagi na jej krągły tyłek. Spojrzałem na Bartka nie wiedząc co powiedzieć. On jednak wyłowił mój znak zapytania w oczach i odparł:

– Ty się nic nie przejmuj. Ona cię lubi. Tylko tak się trochę wstydzi. No, co tak patrzysz? Mówię ci.

Chciałem go zapytać, czy przypadkiem nie jest za mądry, ale ten znów mnie uprzedził.

– Po prostu wiem. I wcale nie jestem za mądry – odparł wstając. – No, to na razie. Idę na polaka. – Nawet nie zwróciłem uwagi na hałasujący dzwonek. Poszedłem osłupiały na historię.

Po tamtej dziwnej rozmowie postanowiłem znowu spróbować szczęścia i umówić się z Anką. Może, cholera, mały miał jednak rację? Ale byłem wtedy jeszcze trochę zbyt naiwny, bo nawet gdyby miał, to żadna kobieta, a już na pewno nie Anka, w życiu by się do czegoś takiego nie przyznała. No, ale skąd mogłem wiedzieć? Spróbowałem. I okazało się to największą klapą tamtego tygodnia. Cóż, sąd sądem, a sprawiedliwość po naszej stronie, więc w końcu uda mi się z nią umówić. Tak sobie pomyślałem. Natomiast Anka od tamtego dnia traktowała mnie jak śmierdzące powietrze i omijała szerokim łukiem.

Cała ta dziwna akcja długo mnie zastanawiała. Ale niedługo później wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. W któreś niedzielne popołudnie Bartosz wyciągnął mnie na spacer. Szwendaliśmy się razem po różnych jego zakamarkach. Zwiedziliśmy jakieś działki za miastem, gdzie Bartosz miał ukryty łuk i strzały własnego wyrobu; odwiedziliśmy plac budowy - nie tej koło dworca - która od lat ani trochę nie ruszyła do przodu, a na której Bartek pokazał mi kilka przejść w piwnicach oraz swoje ukryte skarby - młotek, kombinerki, jakiś plaster i inne pierdolety. Wszystko oczywiście służyło zastawianiu pułapek na bandytów. Albo złych ludzi z różnych światów.

Po wizycie na budowie poszliśmy do podmiejskiego lasu. Tam, jak się okazało, Bartek często kładł się na małej polanie przy urwisku i leżąc na plecach obserwował sobie niebo. Było to dość odludne miejsce, dopiero paręnaście metrów dalej w krzakach znaleźliśmy ślady żulerskiej imprezowni. Położyliśmy się obok siebie i leżeliśmy nieruchomo przez czas jakiś. Było już dość chłodno, ale za to bardzo ładnie. Patrzyłem w niebo i, szczerze mówiąc, nie widziałem niczego specjalnego. Ot, płynęły sobie chmury.

– Na co czekamy? – spytałem.

– Na nic – odpowiedział Bartek. – Oglądamy historię.

– Słucham?

– No, tak. Musisz się skupić i uważnie patrzeć, bo tutaj jest takie kino.

– Kino, mówisz? Jak to?

– No, właśnie – powiedział ze zrezygnowaniem. – Ja to nie wiem. Czy jak się ma już tyle lat co ty, to się tylko na dziewczyny patrzy?

– Wiesz... – zacząłem niepewnie, nie wiedząc o co mu dokładnie chodzi.

– Wy starsi, to albo tylko myślicie o dziewczynach, albo o tych... dyskotekach. A jeszcze inni to tylko zbierają na fajki. A zwłaszcza pod sklepikiem, od młodszych. A dorośli to już w ogóle tylko telewizor i praca. Moja mama mówi, że trzeba, bo inaczej nie będzie pieniędzy. Ale ona nie ogląda telewizora, tylko maluje i czasem sprzedaje obraz i wtedy ma więcej pieniędzy niż inni, i kupuje mi książki. I nie pracuje też.

– A biblioteka?

– Ale mama mówi, że z tego ma gówno, nie pieniądze, a siedzi tam, żeby mieć na mnie oko. I że to żadna praca.

– No i...

– No i chodzi mi o to, że wy to już nic nie robicie.

– Jak to nic?

– Nic. Po prostu. Nawet nie słuchacie tego co się dzieje wokół. Idziesz na przykład i depcesz mrówkę. I nie słyszysz jak ona krzyczy i prosi, żebyś uważał. A one cały czas o to proszą. Nie patrzycie i nie słuchacie. Bo ja myślę, że jak się ciągle patrzy w telewizor, to się psują oczy i uszy, i nie widać potem co się dzieje. Tylko dziewczyny i fajki. Albo telewizor i praca. A można jeszcze inne rzeczy robić.

– Na przykład?

– No, na przykład można biegać. Ale nie tylko tak na podwórku. Tak na niby można. I wtedy biegasz do innych ludzi i ich pytasz, co zrobić, a oni dają ci zadania, a ty je wtedy wykonujesz. Na przykład biegniesz do Gandalfa i pytasz go co zrobić. A on na to wtedy, że musisz pójść do szkoły magii i nauczyć się zaklęcia, żeby otwierać drzwi. I wtedy zamiast klucza, możesz je otworzyć zaklęciem. Ale te zaklęcia to trzeba długo trenować, bo się mogą umknąć...

– Wymknąć.

– No. Umknąć. I wtedy możesz wyważyć drzwi. Albo o, takie coś. Biegniesz do Chińczyka i on ci mówi, że masz się nauczyć grać pionkami, żeby z nimi rozmawiać i żeby one same się ruszały, a ty wtedy możesz się skupić na przeciwniku, żeby cię nie okantował.

– Ty to masz bujną wyobraźnię.

– Ale to nie ja wymyśliłem, tylko ten pan ze szpitala.

– Kto?

– Ale nie mogę o tym mówić. – Bartek spojrzał na mnie, jakby coś złego zrobił. Te jego wielkie, błyszczące oczy jak zwykle potrafiły mnie rozmiękczyć.

– Jaki szpital? Ty na coś chory jesteś?

– Nie, nie, ja tylko, ten, no... no, nie mogę o tym mówić.

– Bartek, ty mnie nie strasz.

– Nie, nie, nic mi nie będzie. Pan od głowy mówi, że jak będę trenował te zaklęcia, to nic się nie stanie. Ani mamie, ani mi.

– Co? Jak to? O czym ty mówisz? – spytałem przestraszony. Bartek spojrzał na mnie, usiadł i jeszcze przez chwilę wpatrywał się we mnie.

– No, co?

– Ja ci coś powiem, ale nikomu nie wypaplasz, że ci powiedziałem?

– Słowo. – Już siedziałem na tyłku. Mały wpatrywał się we mnie, wziął głęboki oddech i wypalił:

– Bo ja umiem czarować.

– Co?

– Właśnie tak.

– Bartek.

– Nie wierzysz mi?

– Nie, ale ja...

– Dobra, nic się nie stało. Tak myślałem. Ale ja wiem dlaczego. Bo wy, starsi, to już nie macie czasu na zabawę i nie rozmawiacie z dziećmi, bo myślicie, że my nic nie wiemy. A jak coś mówimy, to wy nie wierzycie. Bo jak wy czegoś nie umiecie, to mówicie, że tego nie ma. I nie słuchacie. Ale nie przejmuj się. I tak cię lubię. Ty się jeszcze ze mną bawisz.

– Ale jak to?

– Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, nie wolno mi o tym rozmawiać. No, to jak? Oglądamy historię?

Zatkało mnie. Nie sądziłem, że mały ma aż tak wybujałą wyobraźnię. I jeszcze żeby bajerować mnie z jakimś lekarzem i z jego mamą... No, nie. Ale z drugiej strony, cholera, Bartek nie wyglądał mi na kłamczucha.

– No, patrz, ej. – Szturchnął mnie łokciem w bok. – Kładź się i patrz. Bo jak naprawdę się skupić, to można zobaczyć, że tutaj drzewa, o, tam na samej górze, to tworzą z liści taki ekran.

Byłem kompletnie zdezorientowany. Zacząłem znowu słuchać Bartka.

– Widzisz? O, tam. Tylko nie patrz na drzewa, bo nic nie zobaczysz. Musisz patrzeć na niebo i wtedy tak na boku te drzewa wyglądają, jakby robiły ekran.

– Co z tymi drzewami?

– Nie drzewa. Drzewa są.

– Co?

– Drzewa są. I tyle. No, patrz, jak ci mówię.

Faktycznie. Jak się spojrzało na niebo, to korony drzew na skraju pola widzenia tworzyły coś na kształt ramy, framugi, ekranu. Czułem, że wariuję. Dawałem się opleść fantazjom zdziczałego ośmiolatka.

– A teraz musisz patrzeć na chmury. Bo one się tak przewijają jak wiesz, jak ta taśma. I wtedy są obrazki.

Jak na życzenie zerwał się silniejszy wiatr. Chmury zaczęły pędzić po nieboskłonie. Prosto nad nami. Kłęby pary, powietrza, wody i lodu, odległe od nas o całe kilometry, zupełnie bezkształtne, zupełnie bezładne, całkowicie chaotyczne, przypadkowe. I właśnie one zaczęły przybierać postacie. Słońce również wzięło udział w przedstawieniu, nagle rozświetlając cały ekran, podkreślając barwy, wyostrażając kontury. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem. Jak w mordę strzelił, zobaczyłem. To po prostu niewiarygodne. Jakieś to takie jakby za mgłą, trochę jakby we śnie, takie odległe. Ale prawdziwe. Ruch, postaci, nawet słowa, myśli, uczucia. Odniosłem wrażenie, jakbym patrzył na jakąś cholerną iluzję, jakby transmisję zdarzeń z innego, bardzo odległego miejsca. Wszystko to przelewało się dokładnie nade mną, krok po kroku, kropla za kroplą. Jakieś szaleńcze gonitwy, jakieś krzyki i śmiechy, dzieci i dorośli. Wszystko opancerzone światłem, wszystko pełne życia i radości, wszystko mające wreszcie jakiś sens. Miało się wrażenie, że to rzeczywiście do czegoś dąży, że ma to swoją prawdę, o której nie śnią filozofowie, o którą nie zabiegają religie, a wiedzą o niej tylko ci, którzy po prostu żyją. A oni tam żyli. Nie jakieś potwory, nie jakieś bajkowe duszki, tylko normalni ludzie. Wszyscy skąpani w świetle, ujeżdżający chmury, chwytający aniołów za sandały, uśmiechający się do ptaków. Usłyszałem śmiech swój i Bartka, poczułem dziwną lekkość, jakbym miał tam zaraz się znaleźć. I to wszystko działo się w tych niesamowitych chmurach, na ekranie leśnego kina, które koncesję otrzymało z samego nieba.

Wtedy nagle padł na nas jakiś cień i strasznie zaśmierdziało wódką. Podniosłem się natychmiast. Film się urwał, jakby w ogóle go nie było. Bo pewnie nie było... w każdym razie stał nad nami facet. Stary, śmierdzący menel z flaszką w ręku. Dziwnie się uśmiechał i był wyraźnie dziabnięty. Szturchnąłem Bartka. Ten otworzył oczy, podniósł się i nagle wrzasnął na widok mężczyzny. Flaszka w jego dłoni pękła jak skorupka jajka. Przez chwilę panowała głucha cisza, po czym menel zorientował się, co się stało. Zobaczył pokrwawioną rękę, bluzgnął coś o naszych matkach i rzucił się na nas. Zdażyłem odtoczyć się na bok, chwycić Bartka pod pachę i rzucić się do ucieczki. Po kilku susach postawiłem małego na ziemi. Dalej biegliśmy już razem, nie wiem czemu, ale zaśmiewając się do rozpuku. Było mi dziwnie lekko. Wybiegliśmy z lasu na szosę i ruszyliśmy na przystanek. Autobus złapał szybko. Odstawiłem Bartka do domu i wróciłem do siebie. Przez cały ten czas, odezwalaliśmy się do siebie tylko raz.

– Nie powiesz nic mamie, co? – spytał Bartek, mieląc skrawek swetra w dłoniach.

– Ani słowa – odparłem, uściskałem go i ruszyłem w swoją stronę.

Więcej nie rozmawialiśmy. Nie było trzeba. Mimo, iż w głowie huczały setki pytań, to nie odzywałem się. Tylko czasem spoglądaliśmy na siebie i zaczynaliśmy się śmiać. Później nie próbowałem rozmawiać z Bartoszem o tym, co się zdarzyło. Ani o dziwnym niebiańsko-leśnym kinie, ani o żulu i jego flaszcze. Postanowiłem być trochę mniej starszym i zacząć słuchać. Słuchać tego, co dzieje się wokół i tego co mówi Bartek. Zacząłem uczyć się, jak patrzeć przez te jego wielkie okulary. Co prawda mój typowy, materialistyczny umysł domagał się, wręcz krzyczał o wyjaśnienia, jakieś logiczne wytłumaczenie, ale na ten krzyk rozpaczy pozostałem niewzruszony. Okazało się to nie być

wcale aż tak trudne, mimo, iż pytania prawie bez przerwy kłębiły mi się w głowie. Jak to możliwe? Jak to się stało? Czy ten chłopak naprawdę potrafił „czarować”? A może doświadczyłem jakiejś zbiorowej psychozy? A nawet jeśli, to co w tym złego?

Dzisiaj myślę o tamtych zdarzeniach i pojawia mi się w głowie sensowne wytłumaczenie tych wszystkich niesamowitości. Mam wrażenie, że ze wszystkimi wokoło było tak samo, jak ze mną. Trwałem sobie w świecie całkowicie oślepiiony beznadzieją i szarością życia. Z jednej strony przytłoczyła nas lawina kolorowych transparentów zza dopiero co upadłej Żelaznej Kurtyny, a z drugiej otaczała nas przeciętność blokowisk, ciągle pokutująca socrealna rzeczywistość. Tkwiąc w tym wszystkim po uszy, pochwyciłem kotwicę nieświadomie rzuconą przez ośmioletniego marzyciela. Okazał się on być boją ratunkową, która migocząc światłem sygnałowym, rozświetlała bezsens rzeczy, krzycząc, że jeszcze się mogą spełnić marzenia o ciekawym i wypełnionym jakąkolwiek wartością życiu. Będąc przedstawicielem pokolenia spóźnionego, które ani nie załapało się na heroiczny bój z komuną, ani też nie doświadczyło jej zbyt na własnej skórze, co powodowało pewien rodzaj frustracji, nagle stanąłem oko w oko z szansą przeżycia czegoś, co miałoby głębszy sens. Wychowany w duchu patriotycznej walki o niepodległość, nauczony co trzeba robić, gdy ojczyzna w potrzebie, odebrano mi możliwość stanięcia na szanach, bo oto, właśnie niedawno, wszystko w zasadzie samo się zdemontowało. I to bez jednego wystrzału. No, a co by nie mówić, byłem raz, że chłopakiem, a dwa, że porywczym młodzieńcem, podlewanym patriotyczno - powstaniowym sosem, któremu tego typu heroiczne scenariusze śniły się po nocach. Czy bym był licealistą, czy chodził do zawodówki, czy się kształcił, czy klepał biedę, to i tak nie ominęło by mnie to, zwłaszcza, że w dzieciństwie każdy z nas słyszał - chyba, że jego rodzice byli „aktywistami” - synu, jeśli my tego kraju nie wyzwolimy, to ta walka przypadnie tobie w udziale. To w twoich rękach będzie kontynuowanie oporu, to wy tym pokierujecie. „Wy” oczywiście znaczyło całe moje pokolenie. No i w ostateczności przypadło nam tylko bierne przypatrywanie się historii, która ubiegła nas o kilka lat, a tym samym zostawiła na lodzie. No i co teraz? Nic. I być może właśnie stąd wzięła się moja niska odporność na oddziaływanie Bartka. Być może właśnie długo budowana świadomość nadchodzących wielkich zdarzeń i czynów, przez historię bezlitośnie sprowadzona do roli pewnego potencjału, tylko potencjału, nagle otrzymała możliwość wykazania się, tyle, że w polu wyimaginowanego świata dziecka. Dodając jeszcze do tego typowy młodzieńczy pęd ku rzeczom nierealnym, zmyślonym, nietypowym, mamy gotowy zbiór halucynacji, dodatkowo poparty kilkoma zbiegami okoliczności. Tak mogło być. Nie da się tego wykluczyć. Ale takie wytłumaczenie wywoływało jakiś wewnętrzny opór, jakiś młodzieńczy bunt przed zatraceniem się w „byciu starszym”.

Tamto jedno popołudnie z Bartkiem nauczyło mnie więcej o sobie samym, niż kiedykolwiek całe lata przemyśleń. O ile one w ogóle były. Nagle odnalazłem w sobie pewien zbiór cech i właśnie ten potencjał, o który nawet bym się nie podejrzewał. Dojście do siebie zajęło mi sporo czasu; oswojenie się z tymi myślami, wyprowadzenie możliwości ze świata idei do świata rzeczywistego okazały się

niezwykle skomplikowane. Trochę to potrwało. Większość tych myśli dotarła do mnie dopiero po rozmowie z Anką K.

5.

Któregoś mroźnego, listopadowego wieczoru wracałem z kolejnej wyprawy po księgarniach, antykwariatach i bibliotekach. Idąc przez park spostrzegłem przed sobą obładowaną siatkami z zakupami kobietę. Ubrana była w płaszcz z kapturem i udziergany na drutach kapelutek. Obserwowałem jej plecy i myślałem sobie, że rusza się podobnie do Anki, a już po chwili stwierdziłem, że to właśnie ona. Jej obecność w tej okolicy wcale mnie nie zdziwiła, bo z tego co pamiętam, mieszkała gdzieś w tej okolicy. Pierwszy odruch był taki, żeby podejść i zagadać. Tylko, że od ostatniej wpadki nie odzywaliśmy się do siebie wcale i żadne z nas, a już na pewno nie ja, nie miało odwagi przełamać lodów. A może była to kwestia dumy? Sam nie wiem. W każdym razie zastanawiałem się co zrobić i czy w ogóle cokolwiek. Ale w końcu przełamałem się, bo poczułem potrzebę rozmowy z kimś normalnym. A jak jeszcze ten ktoś jest ładny i zgrabny, to nie byłoby to w moim stylu odpuścić sobie ciekawej konwersacji, okraszonej odrobiną przyjemnych wrażeń estetycznych. Zrobiłem kilka dłuższych kroków i zrównałem się z nią.

– Cześć – zagadnąłem.

– Ojej, Kamil. To ty. Przestraszyłeś mnie. Cześć.

– Cześć. – Przez następną sekundę, może dwie, nie wiedziałem co powiedzieć, ale sytuację uratowała Anka.

– Przejdiesz się ze mną kawałek? Idę do domu, a mam już niedaleko.

– Pewnie. Też idę w tą stronę – skłamałem. Było mi kompletnie nie po drodze, ale jej towarzystwo, jak już mówiłem, mogło mi sprawić tylko przyjemność.

– Wiesz, co? To fajnie, że się tak spotykamy – powiedziała. – Chciałam z tobą pogadać.

– Naprawdę? Nie byłeś ostatnio zbyt rozmowna. Przynajmniej nie ze mną.

– Właśnie o tym chciałam porozmawiać.

– No, więc słucham.

– Hmm... nie wiem, jak to...

– Czekaj – przerwałem jej. – Daj mi kilka tych siatek, bo się zaraz przełamiesz, dziewczyno.

– Dziękuję – odparła i podała mi trzy reklamówki. – To ciekawe – podjęła po chwili.

– Co?

– Zawsze uważałam cię za faceta niezbyt skorego do pomocy w takich sytuacjach.

– Naprawdę?

– Aha. Wydawałeś mi się raczej takim, eee, no wiesz

– Tak?

– No, takim niezbyt pomocnym.

– Rozumiem. I pewnie rozbrykanym imprezowiczem, ochlejusem, podrywaczem, żeby kurwiarzem nie powiedzieć. A i pewnie od czasu do czasu dającym sobie w żyłę. Na dodatek cham i kretyn. Półinteligent. Coś pominąłem?

Spojrzała na mnie powłóczyście, uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Trochę przesadzasz.

– Ale niewiele, nie?

– Że jesteś całkiem niegłupi, to wiedziałam. Nie posądzałam cię o dragi. Ale reszta? No, no. Coś w tym jest. – Znowu się uśmiechnęła. Poczułem, że osiągnęliśmy nić porozumienia. Było to miłe na początek rozmowy. Przeszliśmy chwilę w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na siebie. Wyraźnie chciała kontynuować.

– To o czym chciałaś ze mną pogadać? – podjąłem.

Wzięła głęboki wdech.

– O tej naszej ostatniej rozmowie.

– Tej z Bartkiem?

– Aha. Wiesz co, wtedy chyba...

– Słuchaj – przerwałem jej – nie chcę się specjalnie tłumaczyć, ale wtedy ja naprawdę Bartka do niczego nie zmusiłem. On tak...

– Wiem, wiem. Chciałam powiedzieć, że trochę mnie wtedy poniosło.

– Mówisz?

Zatrzymała się i spojrzała na mnie. Patrzyła chwilę, a ja miałem taką cichą nadzieję, że może jakiegoś buziaka dostanę.

– Przepraszam – powiedziała i ciężko westchnęła. Trochę mnie zatkało. Staliśmy jeszcze chwilę patrząc na siebie. Buziak, kurde, będzie normalnie buziak!

– Idziemy dalej? – zapytała.

Dupa.

– Tak, pewnie.

Ruszyliśmy.

– Ciężko było, co nie? – zagadałem.

– Co?

– No, wiesz, wydusić z siebie.

– No – odpowiedziała po chwili. – Cholernie ciężko. – Szeroko się do mnie uśmiechnęła, a ja do niej. Znowu porozumieliśmy się. Coraz bardziej mi się to podobało.

– Wiesz, że żaden facet jeszcze nigdy czegoś takiego ode mnie nie usłyszał?

– Znaczący „przepraszam”?

– Aha.

– Kurde. Czuję się szczęśliwym wybrańcem.

Znów się uśmiechnęliśmy.

– No, ja myślę. Inaczej znowu mogłabym się obrazić.

– Proszę nie – odparłem z przesadnym błaganiem w głosie.

– No, dobra. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Powiedz mi. Skoro wtedy to nie ty Bartka namówiłeś na to, co powiedział, to jak on to wymyślił?

– A mówił prawdę? – zrobiło mi się gorąco.

– Aha.

– Ze wszystkim? – zrobiło mi się jeszcze goręcej.

– No, na pewno z korepetycjami. Bo naprawdę chciałam, żebyś mi trochę pomógł.

Cholera. Twarda zawodniczka. Nie łatwo będzie z niej wydusić co o mnie naprawdę myśli. A na jej zdaniu akurat mi zależało.

– Wiesz, on tak ma – odpowiedziałem.

– To znaczy jak?

Tym razem ja wziąłem głęboki wdech.

– To nie jest zwykłe dziecko i nie chodzi mi o jego wielkie okulary, czy o to, że dostaje wycisk od starszych.

– Jest bardzo cichy.

– Tylko przy obcych. Tak naprawdę to pełny życia dzieciak. Tak zajebiście żywy i pełen energii, jak nikt na świecie kogo znam. A oprócz tego jest strasznie wyczulony na ludzkie emocje. On działa jak sonar. W zasadzie nic nie jest w stanie się przed nim ukryć, żaden nastrój, humor, pragnienie. Czasem nawet mam wrażenie, że on...

Urwałem w pół myśli, bo chyba trochę się zapędziłem. Przecież nie mogłem jej powiedzieć, że czasem zdaje mi się, że ten dzieciak potrafi czytać w myślach.

– Że on co?

– Nic. Po prostu jest strasznie wyczulony. I tyle. Ciężko przed nim ukryć się ze swoimi myślami. Zwłaszcza jeśli są silne.

– Czyli to niby stąd wiedział, że chciałam brać u ciebie korki z matmy?

– No, chyba tak. Chyba, że to wy we dwoje zmówiliście się, zanim mnie spotkaliście.

– Kamil, bądź poważny. Nawet jeśli naprawdę potrafi odczytać czyjeś emocje, jest na nie wyczulony, to skąd mógł wiedzieć, że potrzebuję pomocy z matmą? Przecież to nie wiąże się ze sferą emocjonalną. No, chyba, że przed sprawdzianem, kiedy robię w gacie ze strachu. Albo gdy w domu wkurzam się na siebie i na cały świat, że nie umiem cholernego zadania rozwiązać. Ale nic z tego nie miało wtedy miejsca.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. On czasem po prostu pewne rzeczy wie i już. Za jakiś czas, jak pokręcę się z nim jeszcze trochę, to może się dowiem. Wtedy, moja miła, na pewno ci o tym doniosę.

– Czyli to prawda.

– Co?

– Że spędzasz z nim więcej czasu niż tylko w szkole i na korepetycjach.

– Zaprzyjaźniliśmy się. Czy jest w tym coś złego?

– Absolutnie nic. Ale przyznasz, że trochę to nietypowe. Zwłaszcza, jeśli dotyczy to ciebie.

– Nie rozumiem.

– No wiesz, znając cię...

– Aniu, wybacz, ale nie znasz mnie.

– Zgadza się. Ale pewien image sobie wypracowałeś. I w tym wizerunku, jaki kreowałeś, raczej nie było miejsca na przyjaźń z siedmiolatkiem.

– Ośmiolatkiem – poprawiłem Ankę.

– Ośmiolatkiem, dobra. Ani na charytatywną pomoc. Ani tym bardziej chodzenie po bibliotecę i pomoc w pracy matce wspomnianego ośmiolatka.

Bardzo mi się podobał sposób w jaki się wysławiała, a ciepła barwa jej głosu sprawiała, że po prostu lubiłem jej słuchać.

– Też prawda – odpowiedziałem.

– No, więc?

– A jakie było pytanie?

– O co chodzi? Dlaczego król parkietu, marszałek wszelkiej imprezy, naczelny olewacz klasowy, którego nauczyciele nie mogą tknąć, bo dobrze się uczy, nagle zaprzyjaźnia się z takim szkrabem? Mało tego, że się zaprzyjaźnia. Całkiem zmienia swój styl bycia. Mówimy o szkole, bo jaki jesteś poza, to nie wiem.

– Na pewno tak całkiem?

– No, Kamil. Ja może nie wyglądam, ale jestem równie inteligentna jak ty. A nawet gdybym nie była, to i tak to widać jak na dłoni. Zmieniłeś się jak diabli, a przynajmniej całkiem zmieniłeś swe zachowanie. Wiesz kiedy mnie to tknęło?

– No?

– Kiedy któregoś dnia poszłam na przerwie do Jeżewskiego przegadać jakieś tam wypracowanie z polaka. Podchodzę do klasy, łapię za klamkę i kogo słyszę? Kamila Puszczyka, gnidę z końca rzędu, co wysłała mi sprostnie liściki na lekcjach, który w najlepsze dyskutuje sobie ze swoim naturalnym wrogiem o Krasickim i różnych wizjach końca świata. Myślałam, że mnie zamroczyło, ale zajrzałam do środka i zobaczyłem ciebie. Siedziałeś kaniem dupy na stole, a Jeżewski akurat coś tam dans macabre, dies irae, srutu-tutu.

– No, nie mów, że to nie ciekawe.

– Bardzo ciekawe. Ale w twoich ustach tyrada o bezcelowości istnienia, rozdarcu między nadzieją a zrozpaczeniem i inne takie sartrowskie klimaty, są cokolwiek dziwne. I to z własnej woli. A nie przypominam sobie, żebyś coś nakwasił na lekcji i żeby ci Jeżewski kazał przyjść na przerwie i odpowiadać.

– Ale czy to znaczy, że nie mogę pewnych rzeczy znać, czytać czy wypowiadać? – perfidnie ją podpuszczałem. Doskonale wiedziałem, o co chodziło, ale chciałem jak najwięcej z niej wyciągnąć.

– Wcale nie. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Na tle tego jaki byłeś, no dobra – poprawiła się – jak się zachowywałeś wcześniej, było to cokolwiek dziwne.

– Potraktuję to jako komplement.

– Powinieneś. Bo sposób, w jaki zachowywałeś się kiedyś, bezdyskusyjnie skreślał cię z listy moich randek.

– Słucham?

– Kamil. Przecież tyle razy chciałeś się ze mną umówić. Wiem, że może ci się podobam i mnie lubisz. Ale ja nigdy nie chciałam być traktowana jak trofeum.

– Eee...

– No, nie ważne. W każdym razie, tak jak wcześniej do tego podchodziłeś, byłeś na samym starcie skreślony. Mimo, iż wiedziałam, że jesteś całkiem niegłupi. Jak na faceta.

– Dzięki. A czy teraz coś się zmieniło?

Zalotnie się uśmiechnęła, zatrzepotała rzęsami i szepnęła:

– No, nie wiem.

Kontynuowaliśmy rozmowę, gdy już wychodziliśmy z parku.

– Słuchaj, nie będzie ci przeszkadzało, jak sobie zapalę? – zapytałem. Trochę się tego pytania obawiałem, bo niektóre kobiety palących facetów nie znoszą, ale skręcało mnie już okrutnie.

– Nie, coś ty. Wiesz co? Chodź, siądziemy na tamtej ławce i dasz mi jednego.

– Co? – znów mnie zatkało.

– No, papierosa. Zapaliłabym sobie teraz, a nie mogę na widoku, bo mnie mogą dziadkowie wypatrzyć. A w domu przecież nie zapalę.

– Ty palisz?

– Bardzo mało. No, co tak oczy wytrzeszczasz? To, że się na randki nie umawiam nie znaczy, że tylko się uczę.

– O, rany. Toś mnie zaskoczyła.

– Cóż, ja chyba też mniej więcej wiem, jakie możesz mieć o mnie zdanie. Ale pech twój, że rozmawiamy akurat o tobie. Dasz tą fajkę, czy będziesz tak się gapił?

– Tak, tak, jasne.

– Jakie palisz?

– Sobieszczaki czerwone.

– Ho, ho, burzuj.

Usiedliśmy na ławce i zapaliliśmy. Miałem jeszcze jakieś resztki nadziei, że może zacznie kaszleć, krztusić się i szybko wypluje papierosa z obrzydzeniem. Ale ona tylko raz chrząknęła i powiedziała:

– Trochę za mocne.

Moja wymarzona Anka, ostoja prawości i dziewczęcości, jeszcze godzinę temu śmiertelnie na mnie obrażona, siedzi teraz ze mną w parku i pali szluga. Koniec świata!

Coraz bardziej mi się to wszystko podobało.

– Powiedz mi wreszcie o co chodzi z Bartkiem.

– Chyba nie.

– Dlaczego?

– Nie chodzi o to, że nie chcę ci powiedzieć. Ja po prostu sam nie wiem.

– Spróbuj.

– Czy ja wiem? Ten chłopak ma w sobie jakiś taki magnes, który mnie do niego przyciąga. Ale, wiesz, nie w takim sensie, wiesz. Dziwnym. Niezdrowym.

– Spoko, kumam.

– Chłopak jest tak wyrozumiały. Albo zabawny. Albo tak inteligentny. Albo sam nie wiem co. Albo po prostu wszystko na raz. Nie wiem. Wybierz odpowiedź, która ci najbardziej pasuje.

– Ale to ty masz mi powiedzieć, nie ja mam się domyślać.

– Aniu, cholera wie. Dobrze się przy nim czuję. Dobrze mi się z nim rozmawia, fajnie spędza czas. Naprawdę wolę jego towarzystwo, niż większości kołków z naszej klasy. Wiem, że to trochę dziwne. Jeszcze niedawno, jakby mi ktoś powiedział, że się będę przyjaźnił z takim sznurkiem, to bym go wyśmiał. A jakbym miał zły humor, to może i w mordę bym dał. Sam nie wiem. A teraz? Nie ma dnia, żebyśmy nie spotkali się, przynajmniej na przerwie. Zdecydowanie wolę zabawy z nim, niż większość imprez. Nie, żebym całkiem je odpuścił, ale to już nie to samo. Teraz więcej czasu szlajam się z nim po jakiś zakamarkach, czytam komiksy, rozmawiam o pierdołach z Bartkiem, częściej niż z kimkolwiek innym. Z jego matką również dużo czasu spędzam. Rozmawiamy, pomagam im w różnych rzeczach, ona podsuwa mi jakieś książki, pisma. Wszystko. Tak jakbym znalazł sobie nową rodzinę. I, przy okazji, poznał siebie. Poza tym ten chłopak naprawdę jest magiczny.

– To znaczy?

– Tego już ci na pewno nie wytłumaczę, musiałabyś sama zobaczyć. On na wszystko patrzy zupełnie inaczej. Na wszystko kompletnie. I wcale nie jak dziecko.

– Jak?

– Jest to ktoś zupełnie obcy w tym świecie. Nie ma tu dla niego miejsca, bo jest wrażliwy i dobry. Nie mówię, że to jakiś cholerny samarytanin, aniołek. Czasami jest naprawdę okropny i złośliwy. Chodzi o to, jak on patrzy na świat, na ludzi. Na życie. Ma wyrobione zdanie na każdy temat. Niesie ze sobą jakieś takie proste prawdy, o których nawet byś nie pomyślała, że są, bo są tak trywialne i oczywiste. Chyba to mnie przy nim trzyma. Tak jakbym się od niego...

– Uczył – dokończyła za mnie.

– Właśnie. Ale to nie wszystko. Przy nim i przy jego matce naprawdę mogę poczuć się jak człowiek, a nie jak pieprzony koleś z imprezy, który, żeby go zauważyć i nie zapomnieć, musi przelecieć odpowiednią ilość panienek, wychlać tyle wódki, zjarać tyle fajek. Oczywiście taki tryb

życia sam wybrałem, ale to dlatego, że myśl o byciu przeciętnym typem, szarym łbem w tłumie, przyprawiała mnie zawsze o wymioty. I strach. A innego sposobu na wyłamanie się nawet sobie nie wyobrażałem. I dopiero przy Bartku zrozumiałem, jak beznadziejnie zatraciłem się w tym, przed czym tak naprawdę chciałem uciec. A, jak się okazuje, można inaczej. I wcale nie trzeba, żeby cię podziwiali i wyciągali na każdą imprezę, która bez ciebie odbyć się nie może. Kurwa, dusza towarzystwa.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Anka dogasiła papierosa, ja chwilę po niej. Wtedy dopiero się zorientowałem, że mój zmysł samozachowawczy spakował do plecaka całą nieufność wobec obcych ludzi i poszedł na spacer. A ja siedzę i zwierzam się Ance z rzeczy, których wstydzę się sam przed sobą.

– Tylko jak komuś powiesz, co ci tu opowiadałem, to cię uduszę – zagadnąłem z uśmiechem. – Cóż to byłaby za plama na mym wizerunku – dodałem z przesadną emfazą.

– Cóż, sama nie wiem.

– Jeśli trzeba będzie, zostanę twoim seksualnym niewolnikiem.

– Na razie nie trzeba – powiedziała, po czym podkreśliła – na razie. Chodźmy stąd. Trochę przemarzłam.

Ruszyliśmy w dół ulicy. Było to osiedle szeregowców i domków jednorodzinnych. Z tego co kojarzyłem, Anka mieszkała właśnie gdzieś tu.

– Zaraz będzie dom moich dziadków – stwierdziła. – Mogę się jeszcze o coś zapytać?

– Ale nie o to, czy jestem kochankiem Chojnickiej?

– Nie, nie. To już wiem od dawna.

– Niech będzie.

– Czy ty też czujesz się strasznie nie na miejscu? – Pytanie było dziwne. Nie przez sformułowanie, ale jakąś taką ledwie zauważalną nutkę nadziei w głosie.

– No, coś ty? Przy tobie nie można czuć się nie na miejscu.

– Dzięki, ale nie o to mi chodziło.

– Wiem, wiem. Teraz już dużo mniej niż kiedyś. Ale generalnie tak. Jeśli tak generalnie mówimy.

– Tak. Właśnie tak całkiem ogólnie.

– To jeśli ogólnie, to tak. Nawet bardzo.

Nic nie odpowiedziała. Parę kroków dalej znaleźliśmy się przed podwórkiem „rodzinnego sześcianu”. Tutaj Anka zatrzymała się.

– To tutaj – oznajmiła.

– No dobra.

– To dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy.

– Do zobaczyska w szkole.

– Pa – odparłem i ruszyłem w swoją stronę. Po chwili zatrzymałem się i odwróciłem. Anka stała akurat przy drzwiach i szukała kluczy w plecaku.

– Anka – zawołałem.

– Tak?

– Dzięki.

Uśmiechnęła się. Jak ona się ładnie uśmiechała.

Pogrążony w myślach, ruszyłem w stronę domu. W drodze powrotnej pomyślałem, że właśnie w rozmowie z Anką po raz pierwszy udało mi się zwerbalizować wszystkie, a przynajmniej część ze zmian, jakie zaszły. Najbardziej chyba tknęła mnie moja własna wypowiedź na temat tego, jaki byłem i jak się zachowywałem wcześniej. Bo faktycznie kiedyś nie wyobrażałem sobie innego życia, jak tylko wytańczyć się i wyszumieć, a przy okazji zrobić to na tyle głośno, żeby wszyscy dokoła mnie zapamiętali. I tak zamyślony powoli szedłem przez miasto. Ale nie dane mi było wrócić jeszcze do domu. Na ten wieczór los zgotował mi jeszcze jedno spotkanie. Daleko mniej przyjemne, niż to z Anką.

Przechodziłem właśnie wzdłuż rzędu budek pustego o tej porze rynku. Nagle, ni stąd ni zowąd, doszedł mnie zachrypnięty głos.

– Hej! Puszczyk!

Na bławie stoiska siedziało kilku łebków z mojej szkoły. Wśród nich - diabli nadali - Malczewski. To on mnie zawołał.

– Czego? – burknąłem. W zasadzie powinienem zignorować zaczepkę, ale nadal byłem oszołomiony poprzednią rozmową i zwykła szybkość myślenia dopiero wracała. Cholernie za późno.

Malczewski i jego kolesie zaczęli mnie otaczać.

– Patrzcie, panowie. Oto przyjaciel gówniarzy – powiedział, a jego towarzystwo zarechotało.

– Daj mi spokój – powiedziałem ze zrezygnowaniem. Byłem już tym cholernie zmęczony. Miałem dość jego, jego kumpli i wszystkich tych, którzy uważali Bartka i mnie za dziwolągi. Mimo to, nerwa miałem. Poczulem jak zaczyna walić mi serce, a mięśnie powoli się spinają. Tym razem chyba nie uda mi się splawić Malczewskiego, tak jak ostatnim razem.

– Dać ci spokój? Chyba ci odjębało. Taka okazja. Tak się spotykamy, a ja mam akurat zajebistą ochotę rozpieprzyć komuś łeb. Szkoda, że nie ma tego twojego małego kolesia. Jego też bym pierdolnął.

– Malczewski...

– Co? Nie podoba ci się jak mówię o tym gnojku? Smarkaczu? Małym kutasie? A może to twój kochaś, co? – Malczewski podszedł bliżej. – Powiedz Kamil. Posuwasz go?

Rozsądek nakazywał podkulić głowę i nie eskalować emocji.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz? – warknąłem. – Że jak masz za plecami bandę takich samych debili jak ty, to możesz mi grozić? Albo Bartkowi? Wyżywać się na nim? Bo co? Bo jest mniejszy?

– Puszczyk...

– Nie! Zamknij, chuju, gębę i, kurwa, słuchaj! – wrzasnąłem. Chyba nie był przygotowany na taki wybuch werbalnej agresji.

– Raz w życiu posłuchaj, co się do ciebie mówi! Chcesz być debilem i żyć jak debil? Proszę. Twoja sprawa, ale od Bartka się odpierdol, bo któregoś dnia naprawdę połamię ci, kurwa, kości. I to tak, że cię, kurwa, żaden chirurg nie poskłada. Pojąłeś, kurwa! Pojąłeś, czy nie? Odpowiedz skurwysunu! – darłem się na całego, a Malczewski tylko mrużył oczy i cały się trząsł. Wreszcie kiwnął głową.

– Jakim, kurwa, prawem tak go dręczysz? Bo myślisz, że jesteś silniejszy? Bo myślisz, że jesteś lepszy? Myślisz, że jak w domu dostawałeś wpierdol od ojca, to teraz możesz się na tym dziecku wyżywać? Czy ty wiesz, co ty temu dziecku robisz? Zdajesz sobie z tego sprawę? On się boi przez ciebie na ulicę wyjść. – Wreszcie zniżyłem nieco głos. – On ma i tak spaprane życie, nie musisz mu dokładać. Sam najlepiej wiesz, jak to jest bez ojca, nie?

– Co, kurwa?

– Ojciec tego chłopaka dawno temu umarł. A jego drugi lał go kijem i kablem od żelazka – zmyślałem, nie miałem pojęcia kim był i co robił ojciec Bartka. Ale za to więcej wiedziałem o ojcu Malczewskiego.

– Marek – zwróciłem się do niego po imieniu – sam dobrze wiesz, jak to boli, nie? I jak chowasz się pod stół i błagasz, żeby przestał. A on tylko wrzeszczy i grozi, że jak nie wyjdiesz, to dostaniesz jeszcze bardziej. A potem zawija kabel i leje cię do krwi. Na koniec jeszcze kilka kopów. A jak ma naprawdę zły humor, to jeszcze tym żelazkiem przyjebie.

– Puszczyk, przestań, bo...

– Bo, co? Bo mi wpierdolisz? Próbuj. Ale od Bartka się odpierprz, bo ten dzieciak jest taki sam jak ty.

Przez chwilę panowała głucha cisza. Malczewski stał i patrzył na mnie, a jego zdezorientowani kumple kompletnie nie wiedzieli, co zrobić. Ja w tym czasie oceniałem szanse. Przyznam, że marnie to wyglądało.

– Może i tak – odezwał się w końcu Malczewski. – Ale tobie i tak wykurwię.

Jak powiedział, tak zrobił.

To był bardzo bolesny koniec wieczoru. Sam pewnie nie dałby mi rady, zresztą kilka strzałów na łeb zebrał, ale koledzy mu pomogli. A jak mówi staropolskie przysłowie: i Herkules dupa, gdzie zbójników kupa. Gdy już odzyskałem przytomność, byłem sam. Zebrałem się z ziemi i wróciłem do domu.

Z całej tej bijatyki była w szkole straszna chryja. Moi starsi wpadli w szal, jak mnie zobaczyli po powrocie. Natychmiast zadzwonili na policję, a następnego dnia pomaszerowali bezpośrednio do dyrekcji szkoły. Byli święcie przekonani, że to właśnie Malczewski tak mnie załatwił. Zresztą teorię tę potwierdzały dwie rzeczy. Po pierwsze fakt, że my zawsze laliśmy się gdzie popadnie, a po drugie - te kilka siniaków, które Marek nosił na gbie. Ale ani policji, ani dyrektorce nie pisałem słowa, że to

Malczewski z kumplami. Trzymałem się wersji, że to jacyś żule, że było ciemno, zaskoczyli mnie i dali w kość. Co ciekawe, Malczewski też ani słowem nie pisnął. Ciekawe dlatego, że zawsze puszył się i chwalił po szkole, gdy udało mu się rozwalić mi nos. Najlepsze jednak było to, że, jak się okazało, warto było zebrać ten wpierdziel. Malczewski ani jego kumple już nigdy więcej nie czepnęli się Bartka. Czasem jakiś komentarz czy kąśliwa uwaga. Ale żadnej większej awantury ani dręczenia, ani wyzwisk, bicia czy nawet zabierania drobnych. Nic.

6.

Po ostatniej bijatyce jeszcze przez długi czas byłem w szkole na cenzurowanym. Na przerwach nie wolno mi było opuszczać budynku szkoły, nauczyciele łazili za mną krok w krok, ale z czasem rozeszło się po kościach. Zwłaszcza, że nie wchodziliśmy sobie z Malczewskim w drogę.

Korepetycje z Bartkiem wzbogaciły się o nową osobę. Anka K., w parę dni po naszym ostatnim spotkaniu, przypomniła się w tej sprawie. Zaproponowałem, żeby korepetycje urządzać u Chojnickich. Nie chciałem u mnie w domu, bo ojciec zrobiłby aferę, że znowu komuś pomagam i to za darmo. Co zresztą niedługo potem faktycznie wyszło na jaw i zrobiła się z tego awantura, ale o tym później.

Sprawę skonsultowałem z panią Chojnicką, która chętnie się zgodziła, bo, jak się okazało, знаła Ankę z częstych wizyt w bibliotece. Od tej pory regularnie spotykaliśmy się na korepetycjach. Przychodziłem na szesnastą i uczyłem Bartka, a potem na osiemnastą przychodziła Anka i wałkowaliśmy matkę w małym pokoju, podczas gdy on, pilnowany przez mamę, starał się nam nie przeszkadzać. Cóż, nie zawsze mu to wychodziło. Często niby to na chwilę wpadał do pokoju, często głośno gadał przy drzwiach, podśpiewywał „zakochana para”, puszczał bardzo głośno romantyczne piosenki z magnetofonu. Było śmiesznie, zwłaszcza gdy w jego grę, nie zawsze subtelnie i dwuznacznie, włączała się pani Chojnicka. Na przykład:

– Bartek – krzyczała, trochę przesadnie głośno – odejdź od drzwi! Tam się młodzież...ehem...uczy.

Albo łąpała Bartka pod drzwiami i mówiła:

– Przestaniesz ty, czy nie? Jak będziesz miał dziewczynę, to też będziesz chciał sam z nią posiedzieć.

Tym sposobem powoli, mimochodem, zostaliśmy ze sobą sparowani, zwłaszcza, że pani Chojnickiej chyba to bardzo odpowiadało. Lubiła nas oboje i myślę, że, podobnie jak ja, uważała, że byłaby z nas świetna para. Cóż, nie przeszkadzał mi ten stan rzeczy, rzekłbym nawet, że był po mojej myśli. Moja znajomość z Anką powoli ewoluowała, coraz lepiej się rozumieliśmy, mieliśmy mnóstwo tematów do rozmów i faktycznie nie zawsze wychodziło nam skupianie się tylko i wyłącznie na matematyce. Poza tym pani Chojnicka cieszyła się z obecności Anki jeszcze z jednego powodu. Bartek ją zaakceptował i polubił jej wizyty, bo kończyły się one zawsze wspólną zabawą.

Czas płynął. Była chyba końcówka listopada. Po którejś tam wizycie u Chojnickich, gdy wróciłem do domu, rodzice posadzili mnie w dużym pokoju na kanapie, a sami zasiedli przede mną na krzesłach, twierdząc, że muszą poważnie porozmawiać. Oho, myślę sobie, znowu będzie bardzo ważna sprawa: myśl o przyszłości, pamiętaj o wojsku, bo cię zgarną w kamasze, ucz się, a najlepiej to znajdź sobie na stałe dziewczynę i obetnij włosy. Brrr... sam nie wiem, co gorsze. Ale tym razem rozmowa kompletnie mnie zaskoczyła.

– Jak tam korepetycje, Kamilku? – zapytała matula.

– Eee?

– No, jak tam korepetycje? – powtórzyła.

– Eee, dobrze, a co?

– A pieniądze dostałeś? – wtrącił się ojciec. – Ile ty w ogóle bierzesz od tej bibliotekarki?

– No, w sumie to będzie...hmmm...coś koło, no...

– Tak?

– Kubek herbaty – odparłem.

– Aha. Tak coś czułem. Widzisz Janka? Nasz syn nigdy nie miał głowy do interesów – skomentował, oczywiście ironicznie, jak to miał w zwyczaju. Ale specjalnie się tym nie przejąłem. Nauczyłem się jego uwagi olewać strumieniem ciepłego moczu. Zresztą cieszyłem się, bo myślałem, że tylko o to chodzi. Myliłem się.

– Oj tam, to nic takiego – odparła mama.

– Wiecie – zagadnąłem spode łba – tak w sumie, to ja im po prostu pomagam. Z tego co wiem to im się specjalnie nie przelewa.

Ojciec również spode łba na mnie spojrzał. Tego typu spojrzenia to ja chyba faktycznie mam po nim. Fuj.

– A czy ty w ogóle wiesz, komu ty pomagasz? – zapytał, jakoś tak agresywniej.

– No, jak to? Pani Chojnickiej, a konkretnie jej synowi, Bartkowi.

– A czy ty wiesz – ojciec naciskał dalej – co to za ziółko z tej Chojnickiej?

Ojciec zaczynał się już rozkręcać. Teraz on będzie mnie odpytywał, potem się ze mną kłócił, a matula będzie tylko go uspokajała, mówiąc: „oj cicho Wojtek, daj spokój”. A mi będzie posyłać dobrotliwe spojrzenia mówiące: „nic się synku nie przejmuj, tata tak ma, wiesz, jaki on jest, zaraz mu przejdzie”. Nie cierpiałem tego.

– To znaczy?

– Czy ty wiedziałeś, że jest rozwódką? – spytał ojciec z miną taką, jakby właśnie wszystko wytłumaczył i wszystko stało się jasne, a on oczywiście odniósł kolejny triumf. Ojciec był czasem nieco świętojeblivy.

– A co to ma do rzeczy? Przepraszam, czy to powód, żeby jej syn był trędowaty? A poza tym – tu spojrzałem na matulę – a mama to co? Wdowa? Też rozwódka i jakoś dałeś radę się z nią ochajtnąć.

– A wiesz, że ona raz na tydzień chodzi do psychologa i leczy się w psychiatryku?

– O, w mordę – udałem zgorszenie. – No, to koniec. Nie ma bata. Jutro pójde prosto do niej i jej wygarne. – Sarkazm był w tym wypadku nieco wymuszony, ponieważ zacząłem się troszkę niepokoić. Słowa Wojtka, w połączeniu z tym co mi opowiadał Bartek, zaczęły składać się w bardzo niemiły obrazek. Czyżby lekarz od głowy, o którym wspominał Bartek, był psychologiem, a powodem jego problemów było rozstanie rodziców? To by mnie nie zdziwiło, sam wiem jak to jest. Tymczasem ojciec nie dawał za wygraną.

– Ty się nie naigrywaj tylko słuchaj dalej.

– Chyba już nie chcę.

– Chłopaki, może zrobię wam herbaty? – wtrąciła matula. Ojciec nie zwrócił nawet na nią uwagi, ja tylko kiwnąłem przecząco głową.

– Nie chodzi o to, że się rozwiodła, bo to się normalnym ludziom zdarza – kontynuował ojciec, a ja jak zwykle zastanowiłem się co zawiera w swym znaczeniu pojęcie „normalni ludzie. – Ważne jest dlaczego to zrobiła.

– Mówisz... i pewnie mnie zaraz oświecisz.

– Oczywiście. Po urodzeniu dzieciaka kilka razy się przeprowadzała, bo ją ciągle sąsiedzi wyganiali i policję na nią stali. A u nich w domu ciągle były awantury i rozróby, i to nie byle jakie. Szyby bez przerwy musieli nowe wstawiać, parę razy też i drzwi. Ciągle hałas, krzyki, pewnie też i wódka strumieniami się lała. Podobno też ciągle leje tego swojego dzieciaka, więc ten cały czas rozbija się po szpitalach. W końcu jej facet już nie mógł znieść jej i bachora, i dał nogę. Albo ona od niego, co za różnica? I że taką babę do pracy w bibliotece dopuścili. Przecież toto się powinno z dala od młodzieży trzymać.

– A skąd ty to wszystko wiesz?

– Normalni ludzie ze sobą rozmawiają i się o takich rzeczach ostrzegają. A jak słyszę, że zaczynasz chodzić do kogoś, żeby dawać korepetycje, to rozpytałem, kto to jest. No i wyszło sztydło.

Znowu przeszedł mnie dreszcz, gdy sobie przypomniałem powojenną scenę, jaką zobaczyłem podczas mojej pierwszej wizyty u Chojnickich. Ale to mi nie pasowało do interpretacji, jaką ojciec zaserwował i jaka została ogólnie przyjęta przez „normalnych ludzi”. To, co tam widziałem, nie wyglądało na alkoholową libację, zresztą, pomijając wygląd mieszkania, to sama pani Chojnicka nie wyglądała na osobę mającą tego typu problemy. A już na pewno nie wyglądała mi na taką, która była Bartka, a sam Bartek nie wyglądał na bitego. Wiem, co mówię, bo widziałem go dwa razy w samych majtkach, gdy poszliśmy na basen. Owszem, zdarzały mu się siniaki i zadrapania, ale z kategorii „podwórkowych”, które u chłopaka w tym wieku są absolutnie normalne.

– Ale to, że Chojnicka może jest dziwna i ma problemy, choć nie jestem pewien, czy to prawda, to wcale nie znaczy, że nie mogę jej dziecku pomóc, no nie? No powiedz, mamó.

– No, wiesz Kamil...

– Ten jej dzieciak to też niezłe ziółko – rzucił ojciec, jakby to była nie wiadomo jaka tajemnica. – Zresztą, co to w ogóle za porządek, żebyś ty, stary chłop, szlajał się z takim gówniarzem.

– Ja po pierwsze się z nim nie szlajam, tylko pomagam mu w matematyce, a po drugie...

– Za darmo – wciął się ojciec.

– A po drugie – powtórzyłem głośniejszym głosem – to, że jego matka ma problemy ze sobą, nie znaczy, że musisz dzieciaka od razu nazywać gówniarzem. Wyobraź sobie, że ja go mogę na przykład lubić. Dociera coś?

– Ona ma problemy nie tylko ze sobą, ale z tym gnojkiem też.

– A od kiedy to rodzice nie mają problemów ze swoimi dziećmi w podstawówce? A ja to co jestem? Aniołek? Jak mnie milicja do domu przyprowadzała raz na tydzień?

– Ty to byłeś co innego, synku – rzuciła matula. Typowa idealizacja własnej pociechy. Jakież to naiwne.

– A jakie to, przepraszam, ma pani Chojnicka problemy z Bartkiem? – zapytałem ojca.

– On też się leczy w psychiatryku – odparł z triumfalnym uśmiechem.

– No, się znalazł sędzia i kat. A co z tego?

– Ty nic nie rozumiesz – rzucił ojciec wstając i podchodząc do okna. – Nic nie wiesz. – Wyjął fajki i odpalił jedną. W tej chwili uznałem, że mogę być równie bezczelny, jak on, więc wyjąłem swojego szluga i też zapaliłem. A w domu nie wolno mi było palić.

– To może mnie oświecisz?

– Ten dzieciak jest dziwny.

– No i co z tego? Czy nie mamy prawa do swoich dziwactw? Przecież nawet ty mi opowiadałeś, że kiedyś robiłeś za dziwaka, jak nie chciałeś w zakładzie wziąć legitymacji partyjnej. I co z tego?

– Ale to zupełnie coś innego.

– A co takiego?

– Nic. Po prostu przestań tam chodzić. To oczywiście twój wybór, ale bylibyśmy z mamą zadowoleni, gdybyś jednak już im nie pomagał. – Ojciec tym samym zakończył rozmowę. Wściekłem się nie na żarty.

– No, to, kurwa, świetnie! Pewnie. Nie idź tam, bo my jesteśmy starsi i mądrzejsi, i tak ci mówimy. A jak my ci tak mówimy, to znaczy, że tak jest najlepiej, nie!? Kurwa, super. Ale jak już wytłumaczyć co i jak, to spieprzaj gówniarzu, tak!?

– Kamil, uspokój się – zagadnęła matula.

– Tak! Pewnie! – Wyszedłem z pokoju, oczywiście trzaskając drzwiami. Wychodząc z domu, o trzaśnięciu nie zapomniałem również.

Tak było zawsze. Jeśli tylko udało się ojcu wyprowadzić mnie z równowagi, szedłem do parku, żalując, że w ogóle się odezwałem. Trzeba było przeczekać, posłuchać, a potem i tak robić swoje. Ale samo wspomnienie Bartka mocno mnie poruszyło. A jak już zaczął źle się o nim wyrażać, to już naprawdę nie wytrzymałem. Cholera. Już dawno mi tak nerwy nie puściły, jak właśnie wtedy. Ojciec był jedyną osobą na świecie, która doprowadzała mnie do szału. Nawet Malczewski nie potrafił przyprawić mnie o taki rozstrój nerwowy jak ojciec. Najgorsze, że właściwie to był mój ojczym.

Ojciec, ten mój prawdziwy, zaginął, cholera go wie gdzie, jak miałem pięć, czy sześć lat. Przez trzy lata byliśmy rozbitą rodziną. Potem moja matula poznała Wojciecha Natolińskiego - bystrego i przystojnego cinkciarza spod Pewexu. I w rok później stała się Janiną Natolińską. Ja pozostałem przy nazwisku ojca. Ale generalnie Wojtka zaakceptowałem, a nawet polubiłem.

Najbardziej jednak zastanawiał mnie Bartek. Ciekawe, co u nich w domu się sieprzyło. I kiedy? I ciekawe, co miał ojciec na myśli mówiąc, że Bartek jest dziwny? Hmm, że odludek i mruk? I co z tego? Ja po zaginięciu ojca nie odzywałem się do nikogo, z wyjątkiem matuli, przez pół roku.

Następnego dnia, a była to sobota, od rana chodziłem dziwnie osowiały. Pomijając kaca, bo po kłótni oczywiście poszedłem się napić, byłem nieswój. Wyszedłem na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Był koniec listopada, powietrze zrobiło się mroźne, a pod stopami skrzypiała gruba warstwa śniegu. Snując się po mieście bez wyraźnego celu, całkowicie zatopiony w myślach, nagle zorientowałem się, że stoję dwa bloki od domu Bartka. Nie wiedząc czemu, postanowiłem odwiedzić go. Tak jakoś pomyślało mi się, że może zrobi mi to lepiej. Co prawda nie miałem pewności, czy będą w domu i czy nie będę przeszkadzał, ale skoro już tu trafiłem, to pewnie tak miało być. Domofony nie były jeszcze wtedy tak powszechne, więc na klatkę schodową wszedłem bez problemu. Wspiąłem się dwa piętra i usłyszałem podniesione głosy. Wydawało mi się, że słyszę Bartka i jego mamę. Powoli wszedłem na półpiętro, cały czas nasłuchując. Po chwili nie miałem już wątpliwości, że to od Chojnickich dochodziły odgłosy awantury. Ja to mam szczęście.

Już miałem zabrać dupę w troki i zejść na dół, kiedy z góry doszedł mnie odgłos, jakby coś ciężkiego uderzyło w ścianę i stłukło szybę. Co jest, kurwa? Matka go bije, czy jak? A nie wyglądała na taką. Może jednak ojciec miał rację? Może oni byli patologiczną rodziną, tyle tylko, że taką dobrze zakamuflowaną? Zamarłem i nasłuchiwałem. Bartek płakał i krzyczał, jego matka również, ale nie rozumiałem słów. Odgłos uderzenia powtórzył się, a Chojnicka załkała. Cholera, a może to mały ją lał?

Coś we mnie drgnęło i postanowiłem wkroczyć. Dopadłem drzwi w chwili, gdy znowu coś łupnęło w ścianę. Poczułem, jak budynek zatrzęsł się w posadach. Na klatce zebrali się sąsiedzi. Stali na schodach, na półpiętrze i po prostu patrzyli. Z przerażeniem obserwowali rozwój wydarzeń, ale nie mówili. Tylko szeptem wymieniali jakieś uwagi. Co się dzieje? Czemu nikt policji nie wzywa, czemu żaden z sąsiadów nie zlorzeczy?

Chwyciłem klamkę. Drzwi były otwarte. Gdy je pchnąłem, zrobił się straszny przeciąg, na twarz padło mi kilka luźnych kartek papieru, powiew zerwał mi czapkę z głowy. Wszedłem do środka i stanąłem przerażony. Ściany dzielące duży pokój z korytarzykiem po prostu nie było, za to wszędzie walał się gruz, szkło, fragmenty mebli i kartki powyrywane z książek. Na środku pokoju stał Bartek, cały zalany łzami. Z nosa i z kącika ust leciała mu krew. Obok niego klęczała pani Chojnicka, kryjąc twarz w dłoniach i krzycząc:

– Bartosz, przestań, błagam cię!

Ten chwilę nic nie mówił, trząsł się cały jak osika, po czym wrzasnął:

– Nie, mamó! Nie chcę, nie! Nie!

Gdy wyrzeszczał ostatnie słowo stało się coś niesamowitego. Poczułem jakby falę uderzeniową bijącą od Bartosza, która rozsypała resztki ściany, a mnie powaliła na podłogę.

– Nie zbliżaj się do niego! – krzyknęła Chojnicka. Spojrzałem jej w oczy. Była przerażona, ale jednocześnie zupełnie świadoma tego co się dzieje. Kiwnęła do mnie nic więcej nie mówiąc, jakby chciała mi przekazać coś, o czym od dawna wiedziałem, tylko nie chciałem w to uwierzyć. Boże, pomyślałem, on mówił prawdę, to były czary! Doszły mnie jeszcze tylko odgłosy karetki albo policji, cholera wie, a potem Bartosz rozpętał prawdziwe piekło.

Najpierw zrobiłem się cholernie ciężki, pociemniało mi przed oczami, a pole widzenia znacznie mi się zawężyło. Usłyszałem jakiś dźwięk, jakby wszystko wokół zaczęło się napinać, trzeszczeć i pękać, po to, by za chwilę eksplodować. Nawet czas jakby zgęstniał. Pani Chojnicka straciła równowagę i padła obok mnie, chyba nieprzytomna. Zobaczyłem Bartka unoszącego się metr nad podłogą. Wyglądał strasznie - mięśnie napięte do granic możliwości, nabrzmiałe żyły, zaciśnięte zęby i półprzymknięte oczy. Bardzo szybko poruszał oczami, niewyraźnie mamrotał jakieś słowa. Wszędzie unosił się kurz, a odłamki gruzu zawisły nad podłogą i tylko lekko drgały, powstrzymywane przez niewidzialną siłę. Wszystko wokół pulsowało, napinało się, nawet ściany, te, których Bartek jeszcze nie zburzył, lekko się wygięły. Wszystko drżało, sypał się tynk i beton, pękały ściany. Chwilę później zarwała się pode mną podłoga i spadłem piętro niżej. Obok mnie upadła mama Bartka. On jednak nie zwrócił na to wszystko uwagi, bo kontynuował dzieło zniszczenia. Sufit i zewnętrzna ściana budynku nie zawałyły się - zostały z chrzęstem wyrwane, a w locie zgniecione i zmielone na pył. Ktoś na klatce schodowej musiał również ucierpieć, bo dochodziły mnie stłumione krzyki rannych ludzi. Pojawiło się kilka wozów strażackich i jak na życzenie, ze ściany obok mnie buchnął jęzor niebieskiego ognia. Mieszkanie, w którym się znalazłem momentalnie stanęło w płomieniach. Łącznie z częścią mojego ubrania. Mimo przerażenia, udało mi się otrząsnąć. Zrzuciłem z siebie płonącą kurtkę, chwyciłem pod pachy panią Chojnicką i ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych. Na schodach znalazło się obok mnie kilku strażaków, którzy wzięli nas oboje na ręce i wynieśli z budynku.

Wszędzie dookoła tłoczyli się ludzie. Migły kolorowe światła, wyły syreny, krzyczeli ludzie. Dopadli nas sanitariusze i zaczęli wypytywać co nam jest, jak się czujemy i takie tam. Szybko nas zostawili, gdy okazało się, że nie potrzebujemy specjalnej opieki.

Panował przeraźliwy harmider, który potęgowały kolejne dudniące wybuchy. Patrzyłem na to wszystko z niedowierzaniem. Na moment też, wśród kłębow dymu, zobaczyłem unoszącego się nad zgłiszczami Bartka. Nie zmienił pozycji, nie poruszył się. Po prostu trwał. Potem znów coś eksplodowało. Tym razem naprawdę silnie. Fala uderzeniowa zmiotła mnie i wielu ludzi wokół. Zostaliśmy obsypani odłamkami gruzu i żelbetonu, owionął nas również ogień. Niestety policja nie zdążyła odsunąć gapiów, więc rannych musiało być sporo. A może i nawet kilku zabitych. Ja, na jakąś chwilę, sam nie wiem, jak długą, straciłem przytomność. Gdy się ocknałem, akcja ratownicza trwała w najlepsze. W ogólnie panującym chaosie nikt nie zwrócił na mnie uwagi, ponieważ padłem pod krzaki.

Wstałem, otrzępałem się i wtedy zobaczyłem Marlenę Chojnicką awanturującą się przy drzwiach karetki. Wewnątrz na noszach leżał Bartosz. Jego matka krzyczała coś do policjantów, szarpała się z nimi, próbowała im się wyrwać. Szybko tam podbiegłem i wytłumaczyłem, że to jej syn. Skłamałem, że jest również i moją matką, bo koniecznie chciałem jechać z nimi. Nie byłbym w stanie teraz ich zostawić. Coś mi tam wewnątrz mówiło, że moja rola tu się kończy, że dalej nie powinienem się mieszać. Ale to był tylko strach, a nie mogłem dać się przezeń opanować. Choć fakt, było go dużo. W zasadzie ze strachu to się cały trząsłem. Może dlatego byłem na tyle wiarygodny w oczach gliniarzy, że wpuszcili mnie do karetki. Moją wersję potwierdził też strażak, który widział, jak wynosiłem mamę Bartka z bloku.

Uwierzcie mi, że jazda rozpędzoną nyską, przekonstruowaną na karetkę, nie należy do przyjemności. Nie dość, że wszystko wewnątrz się okrutnie telepie, to jeszcze ciągle masz wrażenie, że cała konstrukcja za moment się rozpadnie albo zgubi silnik.

Sanitariusze uwijali się przy Bartku jak mrówki przy królowej. Podłączali aparaturę, wstrzykiwali jakieś świństwa, mierzyli, badali, krzyczeli i strasznie przy tym klęli. Nigdy nie zastanawiałem się, jak lekarze reagują na swoją pracę. A w końcu to też ludzie. Pani Chojnicka nie płakała, nie lamentowała, nie wyrывała Bartka z rąk sanitariuszy. Siedziała tylko przy drzwiach i tępo wpatrywała się w syna. Zanim dojechaliśmy do szpitala, minęła dłuższa chwila. W międzyczasie ktoś z ekipy ratunkowej zainteresował się mną.

– Pokaże mi pan tę nogę – powiedział sanitariusz.

– Co? – zdziwiłem się. – Jaką nogę? – Wtedy dopiero zorientowałem się, że na podłodze obok mnie rosła kałuża krwi. Spojrzałem na lewą nogę i zauważyłem sterczący z niej odłamek metalu.

– Pan nic nie czuje? Nie boli pana?

– Eee... no, nie, nawet nie zauważyłem. – Zrobiło mi się strasznie słabo.

– Musiał pan stracić mnóstwo krwi, jest pan błydy jak ściana. Proszę oprzeć się o ścianę, a nogi unieść wyżej. O tak, właśnie. Oprze je pan na noszach.

Dokładnie wykonywałem polecenia sanitariusza. Gdy mnie opatrywał, czułem, że coraz bardziej słabnę. Powoli też zaczął dochodzić mnie ból w nodze. Sanitariusz cały czas do mnie mówił. Pytał mnie o imię, o matkę - czyli panią Chojnicką, o Bartka, o szkołę i inne takie pierdoły. Faktycznie, pomagało to nie skupiać się na bólu i zachować trzeźwość umysłu. I tak byłem pełen podziwu dla siebie, że po tym wszystkim, co zobaczyłem, tak dobrze się trzymałem. W końcu jednak siły się wyczerpały. Adrenalina opadła i urwał mi się film.

Obudziłem się w sali szpitalnej. Była już noc. Okazało się, że nieprzytomny byłem ledwie godzinę. Nogę miałem dokładnie zabandażowaną, ale nie była ona moim jedynym zmartwieniem. Pierwszy raz w życiu doświadczyłem całego mojego ciała, ponieważ bolało mnie wszystko na raz. Jak dotąd nie zdawałem sobie sprawy z ilości mięśni, jakie człowiek posiada. Teraz bolał mnie każdy jeden, nawet w palcach. Znalazłem też kilka dodatkowych opatrunków; prawdopodobnie znajdowały się pod nimi oparzenia. Albo jakieś inne dziury, cholera wie. Pielęgniarka, która zjawiała się niedługo

po moim przebudzeniu, oznajmiła, iż nie muszę zostawać w szpitalu, moje obrażenia nie są specjalnie groźne, ale będę musiał przychodzić na badania. Czekali tylko, aż się obudzę, żeby mnie wypisać. Gdy już się przebierałem w moje ubrania, zapytałem pielęgniarki co z Bartkiem i panią Chojnicką.

– Pyta pan o tego chłopca z wybuchu gazu? – spytała.

– Z wybuchu? – Na moment zdębiałem. Ale cóż, tak to pewnie musiało wyglądać. – Tak – potwierdziłem.

– Jest na oddziale intensywnej terapii. Ale ja dokładnie nie wiem. Zapyta pan doktora Fabisiaka.

Wybiegłem z pomieszczenia jak oparzony. Pierwszy raz w życiu tak strasznie się bałem. Ktoś, kto lądował na tym oddziale, nie robił tego przypadkiem. Pędziłem przez korytarz, nie wiedząc dokładnie, gdzie to się znajduje. Dopiero po chwili, gdy wpadłem na jakiegoś starszego mężczyznę, opamiątałem się. Wy tłumaczył mi, gdzie jest intensywna terapia. Ale paru jobów za potrącenie sobie nie odpuścił. Nawet nie skomentowałem. Już biegłem dalej.

Dopałem do szklanych drzwi, prowadzących na oddział. Chciałem wejść, ale stojąca przy drzwiach pielęgniarka zatrzymała mnie.

– Hej! – krzyknęła, łapiąc mnie za kurtkę. – Dokąd to tak szybko?

– Intensywna terapia.

– Tam nie można wchodzić.

Ale mój ko... to znaczy mój brat – poprawiłem się szybko – przywieźli go... nas... niedawno i nie wiem co się dzieje – wydyszałem. – Brat się nazywa Bartek Chojnicki.

– Poczekaj tutaj. Pójdę i się dowiem. – odparła i zniknęła w korytarzu. Stałem obok i czułem jak się trzęsę. Wtedy dopiero zorientowałem się, że parę metrów ode mnie miałem do dyspozycji poczekalnię, w której na fotelu siedziała pani Chojnicka. Nie wyglądała najlepiej. Wpatrywała się pusto w szklankę z herbatą. Podeszedłem i nieśmiało zagadnąłem. Powoli uniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Kamil – szepnęła. Wstała z fotela, zrobiła krok i mocno się do mnie przytuliła. Staliśmy tak chwilę, a ona mruczała podziękowania i jeszcze jakieś rzeczy, których nie rozumiałem. W końcu usiedliśmy naprzeciw siebie. Miałem ochotę zapytać ją o milion rzeczy, ale brakowało mi odwagi.

W poczekalni pojawiła się pielęgniarka.

– Pytałeś o Bartka. – Pani Chojnicka podniosła się z fotela. Ja zresztą również.

– Tak, tak. I co?

– Doktor Fabisiak akurat operuje.

– Co się dzieje? Co jest? – W zasadzie sam nie wiedziałem o co zapytać. Mama Bartka stała z boku i tylko przysłuchiwała się.

– Nic więcej nie wiem. Chłopka przywieźli z poważnymi obrażeniami wewnętrznymi. Ti chyba z tego wybuchu gazu.

Chwilę stałem w milczeniu, wpatrując się w pielęgniarkę. Pomyślałem, że przypomina mi trochę Ankę. Pomyślałem też, że jej towarzystwo bardzo by mi się teraz przydało.

– Proszę się nie martwić – uspokoiła. Na plakietce miała napisane A. Marewska. Też Anna? – Doktor Fabisiak jest najlepszym chirurgiem w tym szpitalu i w całym mieście. Na pewno wszystko będzie dobrze.

– Przepraszam – zagadnęła mimo chrypy pani Chojnicka. – Jestem matką Bartka. Czy może ktoś jeszcze tutaj był i pytał o niego? O Bartka?

– Nic nie wiem, ale jak usłyszę, że ktoś pyta, natychmiast odeślę tutaj.

– Dziękuję.

– Proszę się nie martwić. Ma pani wspaniałego syna, na pewno z młodszym też będzie dobrze – powiedziała i odeszła.

Pani Chojnicka spojrzała na mnie ze znakiem pytania w oczach.

– Syna?

– No, musiałem coś wymyślić, żeby mnie do karetki wzięli.

Nie odpowiedziała, ale zdobyła się na lekki uśmiech.

Siedzieliśmy w poczekalni jeszcze kilka godzin. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem. Pani Chojnicka pogрузzyła się w całkowitej apatii, tępo wpatrywała się w odległą przestrzeń i machinalnie podnosiła do ust kubek z herbatą. Ja za to chodziłem po korytarzu jak lew w klatce. Co i rusz zaczepiałem personel szpitala, dopytując o przebieg operacji. Wypiłem chyba z dziesięć herbat i nawet dwie kawy. A kawy szczerze nie cierpię. W końcu około piątej rano podszedł do nas lekarz.

– Państwo Chojniccy? – zapytał. Nie sądziłem, żeby mama Bartka mogła zrobić się jeszcze bledsza. A jednak na widok lekarza stała się niemalże transparentna.

Wstaliśmy z foteli.

– Tak – odpowiedziała Chojnicka. – Jestem matką Bartka, a to jego brat. Co z moim synem?

Nikommu nie życzę doświadczenia takiej chwili. Ten ułamek sekundy, zanim lekarz się odezwie, jest potworny. To niby taka krótka minichwila, a przez głowę zdąży przejść ci tysiąc myśli. Co oznacza ten wyraz twarzy? Jest smutny, ma złe wiadomości? Po czym zaraz odzywa się nadzieja i podpowiada, że nie. Ten głęboki oddech to nie zwiastun tragedii, ale promyk nadziei - człowiek po prostu odetchnął z ulgą. Ale zaraz znowu nadchodzą czarne myśli i mąką. I tak w kółko. Milion razy w ciągu sekundy.

– Nazywam się doktor Stefan Fabisiak.

– Marlena Chojnicka, a to Kamil. Co z Bartkiem? – powtórzyła.

– Cóż, właśnie skończyłem operować. Bartek miał kilka złamanych żeber, jedno z nich przebiło płuco, nastąpił silny krwotok wewnętrzny. Podejrzewaliśmy też pęknięcie czaszki, na szczęście nie doszło do tego. Oprócz złamań, Bartek doznał silnego wstrząsu mózgu. Nawdychał się też czadu. Było naprawę groźnie, ale jest już dużo lepiej. Proszę się nie martwić, najgorsze za nami. Organizm Bartka jest bardzo silny i poradzi sobie z tym wszystkim. Najbliższe dni wszystko wyjaśnią.

Słyszałem jak uchodzi ze mnie powietrze.

– Ale niestety to nie wszystko.

Zamarłem.

– Bartek nie odzyskał jeszcze przytomności. Obawiamy się, że mógł zapaść w śpiączkę.

Pani Chojnicka opadła z powrotem na fotel. A mnie po prostu sparaliżowało. Czulem, jak cały drzę. Ogarnęła mnie bezsiła i jednocześnie ogromną złość. Wszystko to razem zebrane do kupy, powoduje, że człowiek ma ochotę zamknąć oczy i natychmiast przestać śnić ten koszmar. Albo wręcz na odwrót - położyć się, zasnąć i nigdy już nie obudzić.

– Możecie teraz państwo go zobaczyć, ale tylko na chwilę.

Drogi do pokoju, w którym leżał Bartek, nie pamiętam. Nie pamiętam też jak wyglądał. Wyobrażam sobie, że musiał mieć na sobie mnóstwo bandaży i sińce pod oczami. Ale tak naprawdę nie wiem. Mam kompletną zaćmę, jeśli chodzi o tamten moment. Pamiętam tylko mrugającą aparaturę. Te przekłete, złośliwe światełka. Śmiały się ze mnie, bo miały nade mną władzę. Od nas zależy życie tego malca, mówiły. Czyli twoje. Twoje światło. Chcesz? Możemy je tu w sobie na zawsze zamknąć. Będziemy do ciebie mrugać, wiesz?

Traciłem zmysły.

Wróciłem do domu nad ranem. Moi rodzice, nie wiem jakim cudem, ale już wszystko wiedzieli - o wybuchu gazu, Bartku w szpitalu i moim bohaterskim ratowaniu życia pani Chojnickiej. Nie słuchałem ich za bardzo, ale mówili dużo. Po prostu straciłem przytomność. Do łóżka zaniósł mnie ojciec.

7.

Następnego dnia pojechałem do szpitala z samego rana. Niestety nie wpuścili mnie do Bartka, więc zasiadłem na poczekalni. Jakąś godzinę później z oddziału intensywnej terapii wyszła pani Chojnicka z jakimś mężczyzną. Był to starszy jegomość z rozległą łysinką i resztką siwych włosów, ubrany w bardzo kosztowny garnitur. Miał bardzo spokojny wyraz twarzy.

– Cześć Kamil – powiedziała mama Bartka. – To profesor Walewski. Jest opiekunem Bartka. Przyjechał do nas rano z Warszawy.

– Witam – powiedział. – Bardzo mi miło. Marlena wiele mi o tobie opowiadała. Bartek też.

– Dzień dobry – odparłem.

– Usiądźcie i porozmawiajcie. Ja muszę pójść załatwić papiery – powiedziała do nas i ruszyła w dół korytarza. Wydawała się być dziwnie spokojna. Taka cisza przed burzą - skraj załamania nerwowego, krawędź obłądu, ciągnięcie na rezerwie wytrzymałości i inne, podobnie optymistyczne stany ducha.

– Jak Bartek? – zapytałem.

– Nie obudził się jeszcze – wyjaśnił. – Jego organizm cały czas walczy. Jeszcze nie wiadomo na sto procent czy poradzi sobie z tymi obrażeniami. No i prawdopodobnie zapadł w śpiączkę, a to na pewno mu nie pomoże.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Poczułem jak spłynęły mi łzy po policzkach. Schowałem twarz w dłoniach i cichutko chlipałem w rękaw. Myślałem, że coś mi pęknie w środku.

Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się. W końcu, gdy się trochę uspokoiłem, Walewski podał mi chusteczkę.

– Przyjaźniłeś się z Bartkiem, prawda?

– Tak – odpowiedziałem. – I o panu też chyba słyszałem. Bartek mówił mi o jakimś lekarzu od głowy.

Profesor lekko się uśmiechnął.

– Tak, tak. Bartek wszystko rozumiał po swojemu, nigdy tak, jak mu mówiono.

– I to pan wymyślał mu te zadania?

Nie od razu odpowiedział. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, jakby chciał przewiercić mi czaszkę.

– Zgadza się.

– Proszę mi powiedzieć, o co chodzi? Co to za czarowanie? Co to za... no, nie wiem... te rzeczy, zdarzenia. – Nie wiedziałem nawet jak zapytać.

– Kamil – zaczął – są rzeczy na niebie i ziemi, o których nawet filozofom się nie śniło.

– Niech pan nie będzie pretensjonalny. Nie mam pięciu lat, ale rzeczy, które przy Bartku widziałem, trochę dały mi do myślenia.

– Nie jestem pretensjonalny. Nie wiem tylko czy jesteś gotowy na poznanie prawdy. Poza tym co to za różnica dla ciebie? Byłeś jego przyjacielem. Czy zrobi ci różnicę, gdy wyjaśnię ci co to za – ehem – rzeczy? Czy to naprawdę ma znaczenie?

Tym razem ja się przez chwilę nie odzywałem. Spoglądałem na jego dłonie. Były bardzo zadbane i delikatne, choć widać, że nie obcy był im wysiłek fizyczny. Nie mam pojęcia dlaczego zwróciłem na to uwagę. Niektóre rzeczy po prostu się zauważa.

– W zasadzie już nie – odpowiedziałem w końcu.

Znowu przez chwilę milczeliśmy, aż w końcu profesor się odezwał.

– Bartek posiada bardzo duży potencjał psychokinetyczny, jeśli cokolwiek ci to mówi.

– Owszem.

– Posiada zdolności telekinetyczne i telepatyczne, podejrzewam go też o prekognicję. Odznacza się nad wyraz silną empatią w stosunku do ludzkich i zwierzęcych uczuć, jest też wyczulony na obecność wszelkich istot eterycznych albo bytów astralnych. Na jego nieszczęście jest dzieckiem i wszystkie te zdolności buszują w jego mózgu, siejąc straszliwe spustoszenie. Po to te wszystkie zadania, spotkania ze mną. To wszystko ćwiczenia, które miały pozwolić mu lepiej poznać te zdolności i kontrolować je. Był cholernie pojętnym uczniem, ale to nadal dziecko, a potencjał w nim drżący powaliłby swym ciężarem niejednego dorosłego.

– Matko...

– Niestety też był od urodzenia strasznie wrażliwym i uczuciowym dzieciakiem, dlatego ten dar odczuwał kilkakrotnie mocniej, niż mogłoby to czuć normalne dziecko. Był jak radar, który odbierał wszelkie ludzkie myśli zgromadzone wokół niego. A że, niestety, ludzkie myśli zazwyczaj są brudne, dlatego Bartek cały czas cierpiał. Szukał pocieszenia w drobniactwach, o których ludzie zapominają, ale to było za mało. Nawet nie masz pojęcia, Kamil, jak strasznie dużo dała mu przyjaźń z tobą. To, co się stało wczoraj, było nieuniknione. Nigdy nie miałem co do tego złudzeń. Ale wierzę, że to, co mu dałeś przez te ostatnich parę miesięcy, odsunęło nieszczęście w czasie.

– Skąd to się wszystko wzięło?

– Pytasz o te zdolności? Nie wiem. Raz na kilka milionów dzieci zdarza się jedno takie. Obdarowane przez bogów, przeklęte przez ludzi. Dar Bartka na szczęście nie był aż tak duży, tylko dzięki temu, jego organizm zniósł to i jakkolwiek zasymilował. Uwierz mi, widywałem dzieci, które nie dożywały przez te zdolności drugiego miesiąca życia.

– Widywał pan?

– Tak. Nie raz. Zajmuję się takimi dziećmi, można powiedzieć zawodowo. Ale nie pytaj, bo nie będę mógł ci powiedzieć.

– Ale...

– Nie wiem, skąd biorą się takie zdolności. Próbujemy to wyjaśnić od dziesiątek lat. I ani na chwilę nawet nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia zagadki, choć poznaliśmy już pewne prawidłowości. Stąd wiemy jak to trenować, jak starać się to opanować.

Nie wiedziałem, co myśleć. Coś mi się tam w głowie kłębiło, ale sam nie wiem co. Ogarnął mnie emocjonalny chaos.

– Co teraz się stanie z Bartkiem?

– Kamil, nie będę cię oszukiwał, zresztą Marlena prosiła mnie, żebym ci to powiedział. Sama nie miałaby odwagi.

– To znaczy, co?

– Kamil, ja bardzo wątpię czy Bartek z tego wyjdzie. Mało tego, nie wiem czy nie byłoby dla niego lepiej, żeby nie wyzdrowiał.

– Jak to? Co ty wygadujesz, człowieku?

– Proszę, nie krzycz, nie unosz się. Taka jest prawda. To się skończy jego śmiercią prędzej czy później. Różnica tylko w tym, jak długo będzie cierpiał.

– Niech pan się, kurwa, zamknie! Co to ma znaczyć? To potworne! To jakaś pieprzona eutanazja! Wstałem i zacząłem się od niego odsuwać.

– Kamil, proszę uspokój się. Ja dobrze znam Bartka, wiem co czuje i jak cierpi.

– Najwyraźniej nie zna go pan wcale! Co z tego, że cierpi? Może cierpi dlatego, że nikt już nie wierzy? Pomyślał pan o tym? Może nikt w niego nie chce wierzyć? Może nie cierpi, bo boli głowa, tylko dlatego, że nie ma nadziei, co? Pomyślał pan o tym?

Wokół zaczęli zbierać się ludzie - pacjenci, lekarze. Ktoś tam próbował mnie uspokoić, ale ja nadal krzyczałem. Stałem w kręgu ludzi i czułem się jak zrozpaczona świnia w rzeźni. Nie dlatego, że zaraz umrę, tylko dlatego, że się ze mnie śmieją.

– Jesteście obłeśni! Nikt tak nie kochał życia, jak on! Nikt na świecie tak bardzo jak on nie chciał żyć! Widzieliście jak on się cieszy? Całym sobą! Jest lepszy od wszystkich, od całego waszego gówna! A wy chcecie mu wszystko zabrać. Wszystko.

Mama Bartka stanęła obok i złapała mnie za ramię.

– Masz rację. Ale on naprawdę cierpi.

Nic nie odpowiedziałem. Łzy znowu napłynęły mi do oczu i po prostu wybiegłem.

Przeżyłem coś w rodzaju załamania nerwowego, choć to za mało powiedziane. To tak, jakby nagle ktoś wybitnemu astronomowi udowodnił, że Ziemia jednak jest płaska. Nagle poczułem, że i tak wszystko owiane jest beznadzieją. Co byś nie zrobił, świat i tak okaże się podlejszy, przebieglejszy i w końcu cię złamie. Nieważne, jak bardzo byś się starał, jak mocno nie wierzył i jak wielka i płomienna jest twoja nadzieja. To po prostu nie ma sensu.

Spędziłem dwa tygodnie w domu. Powiedziałem rodzicom, że do szkoły nie pójde i koniec. Matka zrozumiała, ojciec przez dwa dni się piekł, ale w końcu i on odpuścił. Dali mi spokój. Jadłem, spałem i trwałem. Popadałem w apatię, zanurzałem się w rozpacz, poddałem się rozżaleniu. Czyli, krótko mówiąc, było ze mną źle. Przez ten czas ani razu nie wyszedłem na dwór. Kilka osób próbowało mnie odwiedzić albo zadzwonić. Zawsze odmawiałem. Prosiłem rodziców, żeby mówili, że wyjechałem albo, że śpię, albo wyszedłem i nie wiedzą, kiedy wrócę. Dzwonili kumple, a czasami przychodzili całymi gromadami. Dzwoniła pani Chojnicka, ale nie chciałem z nią rozmawiać. Rozmawiała za to z rodzicami i stąd wiedziałem, że Bartek nie wyszedł jeszcze ze śpiączki, ale jego stan jest stabilny. Raz zadzwonił profesor Walewski. Z nim tym bardziej nie chciałem rozmawiać. Nie ze złości, ale ze wstydu. Raz nawet widziałem z okna, jak pod blokiem kręcił się Malczewski. Obserwował dłuższą chwilę, spalił kilka fajek, aż wreszcie poszedł. Potem też zadzwonił, pytał o Kamila, prosił, żeby go pozdrowić. Matula twierdziła, że miał naprawdę smutny głos. Najbardziej jednak uparta była Anka K. Przychodziła, wydzwaniała, nie dawała oddechu. A ja, jak ze wszystkimi, nie chciałem rozmawiać. W końcu jednak udało się jej. Dwa tygodnie po wypadku Bartka, było to tuż przed świętami Bożego Narodzenia, mama zastukała do mnie do pokoju i od razu weszła.

– Masz gościa – powiedziała. – To Ania. Nie migaj się – uprzedziła moje niezadowolenie. – Porozmawiaj z nią.

– Dajcie mi spokój – odpowiedziałem, tępo gapiąc się w okno.

Matula podeszła do mnie, przykucnęła przy krześle i złapała mnie za dłoń.

– Kamil. Wiem, że jest ci źle. Ale pamiętaj, że dobrych rzeczy nie odrzuca się nigdy.

Wstała i zaprosiła Ankę do pokoju.

– Cześć Kamil – powiedziała i usiadła na łóżku. Patrzyła to na mnie, to za okno, czasem gdzieś przed siebie. To była dobra taktyka, bo czułem, że zaczynam wymiękać. Łzy napłynęły mi do oczu,

zgiąłem się do kolan i schowałem twarz w dłoniach, a Anka po prostu mnie objęła. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezbronny, a zarazem tak bezpieczny. Nie miałem bladego pojęcia, że ramię drugiej osoby mogło być tak ciepłe. Objąłem ją w talii i pochlipywałem. Anka przytuliła mnie jeszcze mocniej, głaskała po plecach, muskała twarz, uszy, zanurzała palce w moich włosach. Cholera, to pomagało. Żal ustępował, a jej dotyk jak magnes wyciągał na powierzchnię drobiny nadziei.

– Trzeba wstać – powiedziała cicho.

Podniosłem na nią spojrzenie.

– Nie ważne co się dzieje. – Jej głos lekko drżał. – Najpierw trzeba nabrać powietrza, a potem oddychać. – Dotknęła mej twarzy i lekko pogładziła. – A jak już to się uda, trzeba zaraz wstać i iść. Bo nie ważne, co jest, ale trzeba żyć, a nie tylko trwać.

Nabrałem powietrza do płuc. Zacząłem oddychać. I w końcu wstałem.

– Widzisz? Damy radę. Ubieraj się, wychodzimy. Mam ochotę zapalić, a sama przecież nie pójde.

Poszliśmy na spacer. Anka prowadziła mnie za rękę jak ślepego. Zresztą, tak właśnie było. Ślepy. Ogłuszony. Nieświadomy. Ale żyłem.

Na dworze panował spokój. Świat przykryła śniegowa kołdra, ludzie cieszyli się nadchodzącymi świętami. W drodze Anka opowiadała co w szkole, co z ludźmi z klasy oraz jak nauczyciele i cała szkoła zareagowali na wypadek Bartka i moje zniknięcie.

Ludzie bywają przedziwni. Gdy już ci się zdaje, że straciłeś wszelką nadzieję na ich współczucie i zrozumienie, oni nagle je okazują. Podobno w szkole nikt z uczniów nie komentował złośliwie, żaden z nauczycieli nie wstawił mi zagrożenia na koniec semestru, dyrekcja nie groziła wyrzuceniem. Nawet szkolny psycholog nie musiał niczego tłumaczyć. Wszyscy sami pojęli, o co chodzi.

Jeszcze przez parę dni Anka przywracała mnie do życia jak sparaliżowanego. Wyprowadzała na spacer, coraz dłuższe, coraz częstsze. Prowokowała do podejmowania rozmów, z dnia na dzień coraz żywszych. Postanowiłem, że po świętach pójde do szkoły. A w dzień przed Wigilią odważyłem się i poszedłem z Anką do szpitala.

Zobaczyłem Bartka na łóżku. Pokój rozświetlał jedynie blask lampek z małej choinki pod oknem, oraz migotaniem aparatury. Przyjrzałem się jej bliżej. Nie była już tak ironiczną karykaturą strachu, nie była zimną machiną, wysysającą z człowieka życie. Była zwykłą, najnormalniejszą w świecie. Pomagała.

Bartek leżał na łóżku i nie poruszał się. Nie wyglądał, jakby zamierzał umrzeć. Nie był nawet blady i to wcale nie dzięki sińcom, które jeszcze z jego twarzy nie zeszły. Mało tego, wyglądał jakby się uśmiechał. On po prostu śnił. Był u siebie - wśród swoich aniołów, które oglądaliśmy na polanie. W kącie pokoju siedziała jego mama. Uśmiechała się do nas szeroko, choć przez łzy. Widziałem, że na chwilę naprawdę jej ulżyło. Podeszła i mocno nas objęła.

Następnego dnia w domu odbyła się Wigilia. Pierwszy raz od lat spędzaliśmy ją tylko we trójkę, rodzice i ja. Nic nie było w stanie mnie rozweselić. Ani drobiazgi pod choinką, ani najszczerze nawet życzenia. To był chyba najsmutniejszy moment w moim życiu. Ale potem zdarzyło się coś, w co nie

mogłem jeszcze uwierzyć przez wiele dni. Gdy złożyliśmy sobie życzenia, rodzice zaczęli się ubierać. Zabrali ze sobą kilka różnych pakunków, trochę żarcia w miskach i wyszliśmy. Przebrnęliśmy przez zasy, wsiedliśmy do samochodu, ojciec odpalił silnik i ruszył. Okazało się, że kolacja wigilijna została przeniesiona do szpitala. Nie wiem, jak rodzice to załatwili, ale tak właśnie było. W pokoju, gdzie leżał Bartek, zebraliśmy się my, Anka, pani Chojnicka i profesor Walewski. Były też dwie pielęgniarki, dwie salowe i lekarz, który operował Bartka. Było jeszcze czworo uczniów z jego klasy z rodzicami oraz mój wychowawca - profesor Jeżewski. I było po prostu cudownie. Wszyscy składali sobie życzenia i wręczali prezenty. Oczywiście Bartek nie został pominięty. Każdy cicho szeptał mu do ucha życzenia. Znalazła się też fura podarków dla niego. Nie wiem, co to za rzeczy, bo były zapakowane i dopiero Bartek miał je otworzyć, gdy już się obudzi. Ale kilka z nich przyozdobiło pokój, a w tym wielki pluszowy Miś Uszatek, którego posadzono na krześle obok Bartka. Moi rodzice, nie mam bladego pojęcia skąd, wytrzasnęli plakat z Conana Niszczyciela oraz naturalnej wielkości kartonowego Dartha Vadera. Były obrazki malowane przez rodziców kolegi Bartka, gdzie tańczyły leśne elfy, smoki i rycerze. Był nawet czekoladowy Gandalf - wyrób którejś z pielęgniarek. Mi też dostało się co nieco. Od Anki dostałem własnoręcznie wydziergany szalik. Czarny, z niebieskimi paskami na końcach. Tak. Wtedy chyba właśnie się w niej zakochałem. Gdy mi go wręczała, patrzyłem w jej oczy i czułem, jak coś zaczyna mnie parzyć w brzuchu. Żadnych wielkich słów i fanfarów. Tak po prostu. Drzewa są. I tyle.

Nie płakałem. Byłem zbyt oczarowany tym, co się działo. Doktor Fabisiak powiedział mi, że to wszystko zaaranżowali moi starsi do spółki z panią Chojnicką. Pamiętam, jak w którymś momencie stanąłem przy Bartku i spotkałem wzrok rodziców. Nie potrafiłem im podziękować. Przynajmniej nie w słowach. Ale oni zrozumieli.

Znalazłem wreszcie spokój i harmonię. Pogodziłem się z losem i ze światem. Wróciłem do szkoły, zacząłem nadrabiać zaległości. Przez najbliższy miesiąc codziennie chodziłem do szpitala. Spotykałem tam różnych ludzi, uczniów z klasy Bartka, ich rodziców, znajomych z mojego rocznika, czasem też z rodzicami. Parę osób z rodziny Bartka. Oczywiście cały czas trwała przy nim jego matka. Czasem też zjawiał się Walewski, bardzo często przychodziła ze mną Anka.

Ale jednego gościa w życiu bym się nie spodziewał. A on się jednak zjawiał.

Któregoś dnia siedziałem akurat sam przy Bartku, jego matula ruszyła gdzieś na miasto. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę, proszę – powiedziałem. Siedziałem czytając jakieś opowiadania Vonegutta i nawet nie zwróciłem specjalnej uwagi na wchodzącego. Byłem już naprawdę przyzwyczajony do gości. Jednak natychmiast poderwałem się z krzesła i zamarłem, gdy zobaczyłem, kto wszedł. Marek Malczewski niepewnym krokiem przekroczył próg pokoju. Stał w drzwiach, rozejrzał się i podszedł bliżej mnie.

– Cześć, Marek.

Był wyraźnie zmieszany i nie wiedział co powiedzieć. Pewnie nawet nie do końca zdawał sobie sprawę, dlaczego tu przyszedł.

– A wiesz, kurw...znaczy, no, byłem obok.

– Rozumiem. Siadaj – zaproponowałem, wskazując krzesło.

Usiadł, ale nie wytrzymał długo. Wiercił się, kręcił, rozglądał, w końcu wstał.

– Słuchaj – zaczął. – Wiesz, co, wtedy, na rynku... kurwa.

Nie potrafił tego z siebie wykrztusić. Nie jestem pewien, o co mu chodziło. Może chciał mnie przeprosić, może przyznać rację. Nie wiem. Ale i tak go zrozumiałem. Czułem, jak wiele wysiłku musiało go to kosztować.

– Nic, nie ważne.

Już chciał wyjść, a właściwie uciec, ale go powstrzymałem.

– Marek.

Odwrócił się do mnie.

– Wszystko okej – powiedziałem.

Spojrzał mi w oczy, pokiwał ze zrozumieniem.

– Dobra.

Wyminął mnie, podszedł do Bartka i zamarł. Staralem się wyobrazić sobie, co czuł, o czym myślał. Czy może widział siebie, tak samo leżącego w śpiączce, po tym, jak go ojciec skatował? Może zastanawiał się, dlaczego tu przyszedł? Może przepraszał, może czuł się samotny? A może wszystko po trochu?

Pochylił się nad Bartkiem i zostawił coś przy jego głowie. Po czym odwrócił się w stronę wyjścia, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

– Na razie – powiedział i wyszedł.

To, co zostawił przy Bartku, to była malutka lalka. Stara, plastikowa, nadtopiona w kilku miejscach, w brudnej i poszarzałej sukieneczce w paski. Malczewski musiał ją równie kochać co i nienawidzić. Ale była jego jedyną pamiątką z dzieciństwa, z którą miał choć cień dobrego wspomnienia. Tak sobie przynajmniej pomyślałem.

Parę dni później cała historia dobiegła końca.

Zima powoli ustępowała, śnieg zaczął topnieć, z dnia na dzień robiło się cieplej. To był któryś z pierwszych dni lutego. Od razu ze szkoły ruszyłem w towarzystwie Anki do szpitala. Mieliliśmy mały prezent dla pani Chojnickiej - zbiór opowiadań E.A. Poe, który cudem wygrzebaliliśmy w antykwariacie.

Dotarliśmy autobusem do szpitala i udaliśmy się do pokoju Bartka. Po drodze jedna z dobrze już nam znanych pielęgniarek powiedziała, że pani Chojnickiej na razie nie ma, bo jest chyba u ordynatora. Weszliśmy do pokoju. I nas zamurowało. Łóżko było puste. Wszędzie wokół leżały porwane ozdobne papiery z rozpakowanych prezentów. Po podłodze walały się resoraki, klocki lego, słodczyce, komiksy. Nie od razu zwróciłem uwagę na otwarte okno. Po prostu za bardzo mnie zatkało.

– Kamil! – krzyknęła Anka. – Okno, zobacz!

W mgnieniu oka opanowałem się.

– Leć po Chojnicką i po lekarza! – krzyknąłem do Anki. – Już!

Wybiegłem z pokoju wołając Bartka. Ale wiedziałem, że nie znajdę go w szpitalu. Było to co prawda trzecie piętro, ale przy zdolnościach małego to akurat najmniejszy problem. Znalazłem się na szpitalnym podwórku, przebiegłem w tę i nazad, ale nie znalazłem go. Zacząłem gorączkowo się zastanawiać. Na pewno opuścił szpital, nie czuł się tu dobrze, musiał gdzieś pójść. Tylko gdzie? Zapaliłem papierosa i szybkim krokiem ruszyłem naprzód. Minąłem bramę wjazdową. Gdzie jest Bartek? Dokąd poszedł? Ruszyłem w dół ulicy. Cholera jasna, znasz go najlepiej, myśl tak jak on, Dokąd byś poszedł w takiej sytuacji? Może budowa? Skończyć pułapkę? Nie, sam by tam nie poszedł, bałby się psa. Na działki! Kurwa, po co? Do domu! Przecież nie ma już domu.

Wpadł mi do oka dym z papierosa. Zapiekło strasznie. Załzało. Świat się na moment rozmazał. Wiem. Polana.

– Kamil! Kamil! Zaczekaj! – krzyczała Anka, ale ja już biegłem.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak szybko potrafię biegać. Spięty do granic możliwości, dosłownie czułem krążącą w żyłach krew, napinające się mięśnie, adrenalinę w skroniach. Nie zwracałem uwagi na czerwone światła, na przechodniów, na samochody. Biegłem z prędkością życia. Gonilem je, bo właśnie mi uciekało. Zwiewało sprzed nosa, przeciekało przez palce. A jedyna deska ratunku zdążyła gdzieś tam, naprzód, przede mną. Do lasu. Na polanę z magicznym kinem.

Wpadłem na pętlę autobusową jak bomba z opóźnionym zapłonem. Wydawało mi się, że zaraz pęknię, że nie wytrzymam. Tak cholernie za wolno biegłem. A czas tak cholernie przyspieszał. Z każdą sekundą, z każdym mrugnięciem. Straciłem równowagę na zakręcie, poleciałem w bok, wałnąłem głową w korzeń. Pocięła krew z rozciętej brwi. Zerwałem się na nogi jak wariat, wykrzykując imię Bartka. Zgubiłem plecak, rozdarłem kurtkę, znów się potknąłem, ale biegłem dalej. Parę minut później stanąłem na polanie.

Bartek leżał na klepsku, dokładnie w tym samym miejscu, w którym kiedyś leżeliśmy obaj. Ale nie na plecach, nie uśmiechnięty. Leżał na boku z podkurczonymi nogami i zgiętymi rękami. Dopadłem do niego i mocno przytuliłem. Był szary i zimny. Tak cholernie zimny. Oddychał płytko, oczy miał zaszkłone, ledwo czułem jego puls. Ale ciągle się uśmiechał.

– Od kogo – mówił, łapiąc powietrze jak ryba na piasku – to dostałem?

Ścisnął w dłoni laleczkę, którą zostawił mu Malczewski.

– Od mojego kolegi z klasy.

– Po – złapał powietrze – podziękuj mu. Lila... jest taka... ła... ładna.

Coś mi się wtedy urwało. Spojrzałem w bok, akurat nadbiegła Anka. Nie chciałem, żeby widziała, że płaczę. Nie wiem, dlaczego. Przecież to żaden wstyd.

– Kamil, nie płacz – powiedział Bartek.

– Oglądasz historię? – zapytałem. Gardło miałem już niemal całkiem zatkane. Ledwie wydobywałem z siebie dźwięki.

– Nie. Nie mo... nie mogę.

– Dlaczego?
– Bo muszę porozmawiać z tobą. Zaraz nie... nie będę... mógł.
– Dlaczego?
– Bo... bo czeka na mnie a.... anioł.
– Bartek – czułem, jakby coś z niego przepływało przeze mnie, a jednocześnie odbierało mi siły.
– Dobrze, Kamil. Nie martw się. Prze... cięż się niedługo... spotkamy. Na mat... matkę.
– Bartek, dlaczego chcesz odejść?
– Muszę. Wiesz, zadanie. – Spojrzał gdzieś w bok. – Jeszcze ch... chwilę.
– Dobrze – usłyszałem nad uchem. Nie zdziwiło mnie to. Byłem wdzięczny, że pozwolił Ania przykucnąć obok Bartka. Cała we łzach, chwyciła jego małą, lodowatą dłoń.
– Anka... – Bartek wykresał z siebie taki ładny uśmiech. – K... Kamila kochanka.
Objął ją jedną ręką.
– Kamil pil... nuj pułapek. Bo ja na chwilę idę. To najf... ważniejsze zadanie. Każdy je sp... spełnia. Tylko musi ć... cierpliwie poczekać.
Przymknął oczy. I już ich nie otworzył.

8.

Dwa dni później odbył się pogrzeb. Był piękny, o ile o pogrzebie można tak powiedzieć. Przyszła chyba cała szkoła - podstawówka i liceum. Dzieciaki ze szkolnego chóru śpiewały i grały na skrzypcach. Pani Chojnicka po skończonej modlitwie przeczytała krótki wiersz Poe'go:

Powściągam serce, którego szal

Nieuskromiony rwie się;

Pała grot mój – powietrzny koń

Gubi się ze mną w bezkresie.

Nie byłem na pogrzebie. Stałem tam, owszem, fizycznie. Widziałem wzlatujące ptaki, rejestrowałem monotonnie opadające krople deszczu, słyszałem zjeżdżającą w dół trumnę, czułem jak moją dłoń mocno ściska Anka. Ale tak naprawdę mnie tam nie było. Szukałem. Nawoływałem. Próbowałem nawiązać kontakt, znaleźć jakiś ślad w przestrzeni, lecz nie udało się. On już był za daleko.

Po śmierci Bartka wiele się zmieniło. Wszyscy, którzy z tym dzieckiem się zetknęli, nigdy już nie byli tacy sami. Moi rodzice, Anka, ja, nawet Malczewski. I wielu innych. Zatrzymałem sobie na pamiątkę Lilę - lalkę, prezent od Marka. Nie chciał jej. Powiedział, że ma już jej dość. I że mnie się bardziej przyda.

Bartek zostawił mi jeszcze jedną rzecz. Wiarę. Bo cokolwiek by nie było, wiem, że trzeba żyć, a nie tylko istnieć, że drzewa są i że w końcu wszyscy odchodzimy. Ale tylko na chwilę. A kiedy i jak wrócimy, to już zależy tylko od nas.

Od tamtych zdarzeń minęło wiele lat, ale ciągle pamiętam tak niesamowite szczegóły, które, wydawać by się mogło, powinny ulecieć. Zawsze chętnie się nimi dzielę. Zwłaszcza ostatnio, gdy wspomnienia wróciły z ogromną siłą. Przeczytałem książkę o przygodach małego czarodzieja, Harry'ego Pottera. O chłopcu zagubionym w świecie ludzi, który posiadał niezwykle zdolności.

I tak sobie myślę, że mój Harry miał dużo mniej szczęścia.

Koniec